

Z rodzinnego albumu. Hrubieszów.



Dwór klasycystyczny, 1791, zw. Du-Chateau w Hrubieszowie, obecnie Muzeum, rys. Wrzesław Żurawski

Teresa Fabijańska-Żurawska (*Łańcut*)

Kryzys ekonomiczny lat trzydziestych XX w. zmusił mojego ojca

do przyjęcia propozycji zorganizowania Banku Spółdzielczego dla rolników i ziemian, w małym miasteczku powiatowym, w Hrubieszowie (ojciec był z zawodu finansistą).

Niestety, wiązało się to z opuszczeniem własnego domu w Zamościu. Widać, jednak była to konieczność, a posada dyrektora banku na tyle intratna, że dawała możliwość utrzymania rodziny na średnim poziomie. Zamieszkaliśmy wtedy w reprezentacyjnym miejscu, najpiękniejszym w mieście domu-dworze państwa Du Château, zajmując całą oficynę (wówczas była tylko jedna po prawej stronie patrząc na front pałacu). Dom był samodzielny, parterowy, czteropokojowy z kuchnią i przedpokojem oraz z gankiem drewnianym od frontu. W mansardzie znajdował się uroczy pokój z oknem wychodzącym na stronę południową na płaski dach nad dworską kuchnią. Do tego pokoiku wchodziło się po kręconych schodach prosto z jadalni. Schody były podparte drewnianym słupem malowanym olejną farbą, co dawało pewną śliskość. Używaliśmy go do skracania drogi i małych wyczynów. Zawsze bracia byli szybsi ode mnie. Duży pokój - jadalnia posiadał okna na dwie strony zajmując całą szerokość budynku oficyny. Od strony zachodniej dwa okna na zieleń i podwórze i jedno wychodzące na front z klombem i okrągłym podjazdem, jak to zazwyczaj było w dworach polskich.

Dwór - pałacyk datowany w naczółku „1791” był może nawet wcześniejszy i zapewne budowany przez ostatniego starostę Hrubieszowa, miasta królewskiego, Franciszka Salezego Potockiego częściowo na terenie dawnego, drewnianego zamku królewskiego, zniszczonego przez Chmielnickiego w 1648 r. Przed dworem i wzdłuż ogrodzenia od ulicy 3-go Maja (wcześniej zwanej Pańską) rosły duże drzewa - jesiony i było dużo krzewów i zieleni otaczającego dwór spacerowego parku. We dworze mieszkali właściciele i mieściła się apteka z wejściem spod portyku. Po naszej stronie, w symetrycznym układzie dwa okna po bokach ganku. Sypialnia rodziców po prawej stronie od przedpokoju i na lewo pokój jadalny. Moje ukochane okno na gazon było świetnym miejscem, z którego przyglądałam się życiu. Zasypiałam w małżeńskich łóżach rodziców w obecności ukochanego ojca, który zawsze klęcząc obok odmawiał wieczorny pacierz. Nie pamiętam, by mi kiedykolwiek coś opowiadał, dlatego pewnie tak mało wiem o jego rodzinie.

Pokój moich braci sąsiadował przez ścianę z sypialnią rodziców, stąd świetnie wiedzieli co tam się dzieje. Niejeden raz bijatyki uprawiane nader często przez chłopców zmuszały ojca do interwencji. Słysząc wtedy było w całym domu klap, klap... w jedną stronę, potem zalegała cisza i znów klap, klap - powrót, bez słów. Siostrę miałam okrutną. Nie pozwalała mi spać w pokoju przeznaczonym dla nas obu, straszyła mnie duchami, a jak beczałam, zawijała w kołdrę i znosiła na dół na kanapę.

Wtedy był prawdziwy ryk i ojciec zabierał mnie z powrotem.

W przedziwny sposób z domem tym związało się kilka wątków mojego życia. Ale może po kolei.

Lata przedwojenne były syte i pełne radości, rytmiczne bo odmierzane czasem pracy ojca, na którego czekałam już w przedpokoju, zaraz po 15-tej. Takie było codzienne powitanie: ojciec unosił mnie wysoko, wysoko (miałam wtedy 4-6 lat), a ja pytałam o „losy” i „kaliptusy”, które zawsze dostawałam. Losy to były jakieś niewykorzystane druki reklamowe banku, a „kaliptusy” – cukierki eukaliptusowe, moje ulubione do dzisiaj. W parę minut po przyjsciu ojca zasiadaliśmy sześcioosobową rodziną do stołu, do obiadu. Zwyczaj wspólnych posiłków utrzymał się przez wszystkie wspólne lata. Przy dużym, dębowym stole stanowiącym komplet z innymi meblami rodziców, które ojciec sam projektował i dawał wykonać ze specjalną myślą o domu w Zamościu, każdy miał swoje stałe miejsce i swoją serwetkę obok talerza. Z rozczeniem, po latach, odnalazłam ten zwyczaj w dalekiej Szwecji, w domu przyjaciół, u baronostwa Hermelinów, do których kilka razy jeździłam w latach 1967-1975.

Przed rozpoczęciem obiadu cała nasza czwórka według starszeństwa, ze mną na końcu, poddawała się torturom picia tranu, którego wprost nie znosiliśmy. Szykowano więc kosteczki

chleba, solono czubeczek łyżki, zatykano nos i obiecywano np. pójście na ślizgawkę lub na kajak latem, byleby tran był wypity. Po takiej ceremonii rzucaliśmy się szybko do talerzy z gorącą zupą, by zabić oleistość i ten zapach... Po obiedzie, w zależności od pory roku i pogody wybieraliśmy się do ogrodu, w którym była altana z trejażu (treillage) obrośnięta pnączami i spacerowe alejki. Rosło dużo rzadkich gatunków krzewów, jak magnolie wielkokwiatowe, liany, octowce wówczas rzadkość i srebrne świerki. Ogród był zaplanowany i prowadzony jako spacerowo-dekoracyjny, z wysokimi szpalerami przycinanych grabów, alejami i wystawą kwiatową na południe ku śluzie na Huczwie. Warzywnik był obok, odgrodzony. Właśnie na granicy parku i przy domu schodzącego warzywnika pamiętam tajemnicze wejście do lochów, o których moi bracia opowiadali dreszczem przejmujące historie. Śmiałkowie, którzy usiłowali zgłębić długość korytarza i kierunek, zawsze doznawali przykrych przygód: a to świece im zgasły, a to ktoś ich pobił lub nastraszył. Czy była to zwykła, dawna lodownia dworska, czy pozostałość piwnic starego zamku - trudno dzisiaj powiedzieć. Ślad po tym zaginął.

Stefan Du Château - profesor, konstruktor, architekt z Paryża wspominał podczas spotkania w Hrubieszowie, jesienią 1992 roku o swojej przygodzie, gdy młodzieńcem będąc wszedł w jakiś otwór lochów w rynkowych zakamarkach, a wyszedł gdzieś nad rzeką. Były więc z pewnością lochy pod częścią miasta, o czym

wielu wspominało, jak chociażby Golejewski w „Pamiętnikach”. Były, bo być musiały ze względu na konieczność ciągłej obrony przed Tatarami. Napadali i palili miasto 9 razy i dopiero Jan III Sobieski skutecznie położył temu kres w 1672 r.



Babunia, Maria Joanna Anzelmowa z Moszyńskich De Schmieden Kowalska z córkami. Siedząca (bez torebki) matka Teresy Żurawskiej.

Przypominam sobie zdarzenie z pierwszych miesięcy po

opuszczeniu miasta przez wojska niemieckie w 1944 r. ,
rozpowiadane między ludźmi, którzy w środku słonecznego dnia
zobaczyli starego człowieka wychodzącego z piwnicy wprost na
ulicę. Był pergaminowo blady, przestraszony, słaby i
zdeteminowany. Przechowywał się w lochach przez lata
pogromu żywiąc się pewnie jabłkami i towarami, które tam
magazynowano. Biedak, nawet nie wiedział, że wojna się dla tej
części Polski skończyła.

Te słynne podziemia mogą sięgać jeszcze XVI w. gdy Hrubieszów
był warownią ze wspomnianym już zamkiem królewskim,
założonym przez Władysława Jagiełłę w 1400 r. W imieniu
monarchy rządy tą królewszczyzną, niezbyt cenioną, sprawowali
starostowie. Toteż królowie zastawiali ją za grube pieniądze
pożyczone od owych możnych starostów. O tym wszystkim
dowiedziałam się już teraz, mając propozycję napisania referatu
o dziejach Hrubieszowa w XIX w., gdy podlegał administracji
carskiej Rosji. Sięgnęłam więc z zainteresowaniem do samych
początków i szeroko otwierałam oczy dowiadując się, że był
założony na wyspie otoczonej ramionami Huczwy, jej rozlewisk i
bagien. Ostatnim prywatnym posiadaczem dominium
hrubieszowskiego był sam ksiądz Stanisław Staszic, który
właśnie tutaj założył pierwszą w Polsce spółdzielnię
„Towarzystwo Rolnicze Hrubieszowskie” (1816) uwalniając
chłopów od pańszczyzny pół wieku wcześniej niż stało się to pod
zaborami. Ziemia przeszła na własność chłopów, ale żeby to

prawnie uczynić musiał najpierw nabyć ziemię na własność, a jako syn mieszczanina nie miał do tego tytułu. Starano się więc o to długimi zabiegami prawnymi, za pośrednictwem Ignacego Cetnera oraz jego córki Anny i wreszcie po latach doczekał się realizacji swojej idei. Chyba jednak we dworze nie zamieszkał, co najwyżej, mógł się w nim zatrzymywać lub na plebani, gdzie później urodził się Bolesław Prus (Aleksander Głowacki).

Z dzieciństwa ostatnich lat przed II wojną światową pamiętam same dobre i szczęśliwe dni. Nasze spacerowanie nad Huczwą, pływanie kajakiem hen daleko aż pod most kolejki wąskotorowej, kąpiel w bagnistej wodzie pełnej szuwarów, strzałki wodnej, nenufarów i innych zielsk, którymi oplatały się wiosła, a podczas kąpieli nogi grzęzły. Było tam malowniczo i jedynie w swoim rodzaju. Huczwa wiała się wśród łąk i pod zwisającymi nad nią starymi drzewami, którymi obsadzano kiedyś obrzeża ogrodów przydomowych na spadającym lekko stoku ulicy początkowo zwanej Młyńską.

Na spacerowanie chodziło się po pachnących łąkach tak elastycznych, że odnosiło się wrażenie, że stąpa się po gumie - miękko i przyklepnie. Tylko w okresach długiej suszy ziemia pękała tworząc szczeliny lub siatkę drobnych spękań. Były to wspaniałe torfowiska. Ojciec zabierał nas także na spacerowanie do niezbyt odległego lasu, Bohorodycy. Podczas jednego ze spacerów, zauważyłam dziwne podenerwowanie ojca. Pierwszy raz wydał

mi się zupełnie inny. Był zdenerwowany, wręcz wzburzony patrząc na rozbieraną w dali drewnianą cerkiewkę. Tumany pyłu co chwilę przysłaniały wyrazistość tego widoku. Słysząc było trzask łamanego drewna i huk rzucanych belek. Tatusiu, dlaczego burzą kościółek? – zapytałam. Ci, to tylko wykonują polecenie, ale tamci nie mają racji – powiedział jakby do siebie ojciec. Nie rozumiałam wtedy kto są „tamci”. Ale więcej nie pytałam. Dzisiaj wiem, że był to wielki błąd polityczny, który wkrótce odwrócił się zemstą i nienawiścią Ukraińców do Polaków – codziennie podpalane miasta i palenie okolicznych wsi. W latach okupacji dotkliwie to odczuwaliśmy. Zastrzelono np. doktora Kuczewskiego, który był opiekunem placówki PCK w Hrubieszowie, pomagał ludziom materialnie, leczył i chronił przed wywózką młodzieży do Niemiec na ciężkie roboty.

Z hrubieszowskich, przedwojennych lat pamiętam życie towarzyskie moich rodziców, oczywiście na miarę prowincji, ale bardzo ożywione. Mama należała do Sodalicji Mariańskiej – organizacji katolickiej skupiającej miejscową inteligencję i okoliczne ziemiaństwo. Organizowano tzw. „herbatki” z występami artystycznymi młodzieży, „opłatki” z choinką i śpiewaniem kolęd. Kiedyś i ja wygłosiłam wierszyk, ale z miernym efektem, bo zapomniałam dygnać. Ile się potem w domu nasłuchiłam od siostry! Kiedy indziej zapomniałam na początku powiedzieć autora czy tytułu – i znów była bura. Strasznie mnie to stresowało, a nikt nie pomyślał, że mam

wrodzoną nieśmiałość, która mnie do dzisiaj paraliżuje w bardzo ważnych momentach życia. Pokonywałam samą siebie, ale ile to mnie kosztowało?... Przecież na całej mojej drodze zawodowej musiałam mówić stając przed ludźmi czasem niezwykle, słynnymi, już sama świadomość unieruchamiała mózg, a tu trzeba było trzymać się na nogach, nie wymachiwać rękoma, bez żadnego zbędnego gestu, dobierać odpowiednie słowa i przecież nie tylko polskie. Pokonanie tego wszystkiego i uruchomienie szarych komórek z wiedzą natychmiast potrzebną - zawsze mnie drogo kosztowało i nigdy nie byłam z siebie zadowolona. Pochwał też nie było, czasem grzecznościowe podziękowania, z których naturalnie cieszyłam się, ale nigdy nie oczekiwałam. Moim spełnieniem się jest praca naukowa w bibliotekach, archiwach, poszukiwanie dokumentów, dochodzenie do prawdy historycznej, odkrywanie faktów dotąd nieznanych, pisanie o tym i opracowywanie w zaciszu domu czy pracowni muzealnej. Z wyborem zawodu trafiłam w dziesiątkę, chociaż nie była to pierwsza dziedzin z ulubionych. Jestem szczęśliwa i uważam, że swój czas wykorzystałam maksymalnie, nie marnując ani jednego dnia. Może to wszystko, co dał mi Hrubieszów ukierunkowało dalszą drogę, którą poszłam i dalej jeszcze idę. Taką prostą i przejrzystą, jak krajobraz znad Huczwy.



Mama (Eleonora Fabijańska) wącha różę

Najbardziej lubiłam okres przed Bożym Narodzeniem. Pierwszy śnieg, rześkie powietrze, wygwieżdżone niebo. Wieczorne zakupy w sklepach Hapońskiego i Baty, powrót do ciepłego domu z mnóstwem pakunczków zawieszonych na ozdobnych sznureczkach, ładnie opakowanych. Jakież Hrubieszów wydawał mi się wielkowiejski ze swoimi dziś nieistniejącymi, prywatnymi sklepami. Był ich cały szereg w zachodnim rogu dawnego rynku bardziej i mniej eleganckich, drewnianych witryn z perfumerią,

sklepem bławatnym i obuwniczym na czele. Cóż to była za radość i duma z posiadania pierwszych w życiu czarnych lakierok, kupionych specjalnie na ślub kuzynki Lili Piątkowskiej.

- O, właśnie widzę sznur sań dworskich, które zajeżdżały przed dwór z gośćmi weselnymi z odległego o 7 km Czumowa. Para Młoda podjechała najmodniejszym wówczas samochodem marki buck, na kołach o drewnianych szprychach, chyba jedynym jaki był w Hrubieszowie. Zdaje się, że właścicielem był pan Juliusz Du Château, gospodarz dworu. Przystanek z przebieraniem był u nas. Obserwowałam kreacje pań, fraki panów i usiłowałam sobie wyobrazić bal, na który mnie nie zabrano. Ale przy ślubie byłam ważna, prawie jak panna młoda. Niosłam długi, długi tren, a Dzidka Brojevska welon. Ach, co to był za ślub...! - Szereg par ustawionych w orszak zaczynał się przy ołtarzu, kończył pod chórem. Tata wbił się we frak, mama miała szytą specjalnie na tę okazję suknię z pięknego aksamitu w kolorze mchu z dodatkami z morelowej tafty. A więc kołnierz á la Maria Stuart, stojący, podbity taftą, dół sukni z trenem, udrapowany pasek zakończony był riuszką z tejże tafty. Te dwa kolory bardzo mi się podobały i stały się ulubionymi na całe życie. Uwielbiam też welury, miękkie aksamity, mięsiste i lejące, otulające sylwetkę.

Mama miała jeszcze drugą suknię, lżejszą, przygotowaną na wesele. Jedwab ciemno-szary w drobniutki biały wzorek. Przód był ułożony w draperię spiętą dużym, sztucznym srebrzystym

kwiatem. Nie pamiętam jej długości, ale chyba zgodnie z modą lat trzydziestych była długa i swobodna. Fryzura w głębokie fale na bok spadające. Włosy naturalnie srebrzące się (mama wcześniej osiwiła) długie, upięte w kok nad karkiem. Była taka ładna, ojciec był bardzo przystojny, postawny. Twarz spokojna, owalna o wysokim czole i niezbyt obfitym owłosieniu, zawsze uśmiechający się. Byli szczęśliwi. Siostra moja, Ela jako pierwsza družka w różowej, dziewczęcej sukience suto marszczonej, podobnej do krynoliny, z dopasowanym gorsecikiem ozdobionym pękiem sztucznych, różowych różyczek i takimże wianuszkiem na czarnych włosach utrefionych przez fryzjera we francuskie loki, ścisłała w dłoni torebeczkę - woreczek z tej samej tafty. Wszystkie te dodatki długo przechowywała w kwadratowym, eleganckim pudełku z ozdobnej złotym wzorkiem tektury, w którym przyjechały z Warszawy. Lili suknia chyba też była kupiona w Warszawie lub szyta. Biały atlas podkreślał jej kobiece już kształty, chociaż miała zaledwie lat osiemnaście. Długi rękaw, bez dekoltu, gładka i dopasowana z trenem. Welon dopasowany do kształtu głowy i delikatny, biały kwiat. Wacek oczywiście w czarnym fraku, wypomadowany i upudrowany. Był pedantem czystości i bardzo dbał o estetykę wyglądu. Był dużo starszy od Lili, miał chyba 30 lat i jako znakomity fachowiec, po rolniczych studiach zarządzał majątkiem ziemskim cioci Niusi, matki Lili. Nie taki mariaż marzył się cioci, a przede wszystkim nie zaraz po maturze. Ale małżeństwo okazało się trwałe. Mieli pięcioro dzieci (trzecie z kolei, maleńka Zosia zmarła w

niemowlęctwie). Czwórka udanych, zdolnych, zaradnych chowała się dobrze, troje jeszcze żyje: Maryla, Andrzej i Jaś. Wacek po ślubie usamodzielniał się, najpierw jako zarządca majątku w Trzeszczanach, a wkrótce jako dziedzic na Wiszniowie.

Wracając do pamiętnego ślubu, jako dziecko przeznaczone do niesienia trenu, ubrana byłam w lekko kremową jedwabną sukienkę z koronkowymi falbankami, wiązaną z tyłu na kokardę. Kokarda w kształcie motyla siedziała także na mojej czarnej łepetynie. Białe pończochy i czarne lakierki dopełniały całości. Dzidka miała błękitną, aksamitną sukienkę z karczkiem i szczypankami, na których przede wszystkim rzucały się w oczy kolorowe, haftowane pajęczki. Takie sukienki ozdobione białym kołnierzykiem bebe ogromnie były modne i kupowało się je gotowe sklepach. Dzidka miała przywiezioną z Warszawy. Podczas ceremonii ślubnej odbywającej się wieczorem 2 lutego 1938 r. kościół św. Mikołaja w Hrubieszowie, tonął w światłach i świecach. Wszystko, co było możliwe, jasno się paliło. Wypełnili go licznie zebrani goście weselni i zwykli gapie. Przejęta swą rolą, czułam się jak aktorka, na którą wszyscy patrzą. Starłam się więc nie ruszać, nie rozglądać i być poważną. Ile miałam wtedy lat? – a no pięć i pół. Po uroczystości w kościele weselnicy odjechali do pobliskiego Czumowa na wesele w pałacu. My, dzieci, zostaliśmy w domu. Odczułam z tego powodu wielką niesprawiedliwość, tym bardziej, że Dzidka została zabrana, a przecież obie byłyśmy rówieśniczkami. Takie to były pierwsze,

dziecięce gorycze, których nie zwierzyłam nikomu. Może nie miałam odwagi?

Z czasów przedwojennych pamiętam święta te największe i te państwowe, jak Konstytucji 3-go Maja bardzo uroczyście obchodzone. Również Boże Ciało kiedy to sypałam kwiatki podczas procesji w białej sukience i w wianuszku. Zachowało się amatorskie zdjęcie naszej czwórki siedzącej na stopniach ołtarza, który umieszczono na naszym ganku. Ostatnia Wielkanoc zapisała się w mej pamięci obfitością stołu wielkanocnego, którym było biurko taty stojące między oknami w jadalni. To było prawdziwie dworskie święcone. Na białym obrusie stały baby lukrowane i ozdobione skórką pomarańczową (cykatą), kielbasa biała zwinięta w wianuszek utopiona w smalcu, szynka w całości gotowana, pasztet szpikowany paseczkami słoniny wyglądający jak tort, obok na tacach mnóstwo mazurków, na środku duży biały baranek z chorągiewką czerwoną i złotym krzyżem na niej malowanym i kolorowe jajka - kraszanki. Barwinek z ogrodu, pierwsze, wiosenne kwiaty (Wielkanoc w 1939 r. była 9 kwietnia) uzupełniały tę bardzo smakowitą kompozycję. Poświęcił nam to wszystko ksiądz prałat Melchior Juściński, z którym rodzice przyjaźnili się. Przez długie lata był proboszczem w Hrubieszowie.

Moje lalki też miały święcone: miniaturowe jajeczka, łeb świński, różową szynkę i mazurki - wszystko z marcepanu, przysłane

przez ciocię Milusią, mamy siostrę z Warszawy. W pamięci hrubieszowskich lat dziecięcych zostały także zabawy. Te w ogrodzie z braćmi i te bardziej przeze mnie lubiane z Olesiem Du Château np. w „panią i szofera” na starej platformie do rozwożenia piwa i wód gazowanych, która stała pod wiatą w podwórzu.

Chodziliśmy czasem do apteki i tam ciocia Gienia (ciocia Olesia - farmaceutka) dawała nam sok malinowy do okrągłych białych opłatków, w które apteki sypały zazwyczaj medyczne specyfiki. Nam to bardzo smakowało. Nawiasem mówiąc prywatna apteka rodziny państwa Du Château istniała w Hrubieszowie w tym dworze od 1850 r. od kiedy i dwór zaczął należeć do tej francuskiej rodziny, która wybrała Polskę na drugą swoją ojczyznę. Zajmowała dużą część lewego parteru z wnętrzami przesklepionymi i obszernymi. Rodzice Olesia i maleńkiego wówczas Jasia, państwo Maria z domu Mazaraki i Juliusz Du Château mieszkali do 1939 r. zajmując najpiękniejsze wnętrza od frontu i od ogrodu z wejściem przez taras. Urządzone były z ogromnym smakiem, stylowo i po dworsku z salonem na osi, w którym stał fortepian, z sypialnią po stronie apteki, jadalnią od kuchni w dobudówce o płaskim dachu i z pokojami dzieci od frontu. Przed tarasem rosły piękne magnolie, srebrne świerki i zataczały półkole grabowe szpalery. Góra dworu - piętro, w tych latach nie było zamieszkane.



Rodzina Fabijańskich: mama (Eleonora), Witek (Wiktor), tata (Józef), Julek (mały - Juliusz) i Ela (Elżbieta)

Kiedyś była większa wyprawa w tę część, którą zapamiętałam jako niezwykłą przygodę. Wydawało mi się, że znalazłam się w bajkowym świecie. Do dzisiaj jawi mi się jak sen. Ściany hallu wyłożone zszarzałą, białą lakierowaną boazerią, udawały pewną przytulność wewnątrz. Stąd rozchodziło się mnóstwo pomieszczeń. Czułam specyficzny zapach staroci i rozsychniętego drewna. Przez uchylone drzwi ukazał mi się pokój dziecienny pełen starych, nieużywanych zabawek. Jednak ktoś tam utrzymywał

porządek, sprzątał, odkurzał, bo nie robiło to wrażenia rupieciarni, raczej kultu dla pamiątek po kimś. To był zaczarowany świat, do którego bałam się wejść. Podłoga skrzypiała za każdym stąpieniem. Deski (zapewne kiedyś przykrywał je dywan) też były malowane. Zabawki cudowne, jakich nigdy w życiu nie widziałam, zdradzały zamożność domu i nie przypominały tych ze sklepów. Jak w „Laleczce z saskiej porcelany” czy „Wieszczce lalek”, których wtedy jeszcze nie znałam, jawił mi się ciemnozielony kufer pełen pajacyków, kolombin, arlekinów, lalek w krynolinach i w białych peruczkach. Chciało się pociągnąć za sznurki, by zaczęły tańczyć, ruszać się i śpiewać. Była też mała scena dla kukiełek z jedwabną, rozsuwaną kurtyną. Inne zabawki leżały na półkach: żołnierzyki w strojach z okresu Księstwa Warszawskiego, dobosze, księżę Józef Poniatowski na koniu. Szabelki, konie na biegunach i porcelanowe lalki o słodkich buziach z prawdziwymi włosami, przepięknie ubrane w koronkowe suknie – to było czarujące spotkanie z przeszłością.

Po trzydziestu latach, ten obraz spowodowany jasnym kolorem i zapachem rozsyhających się boazerii, powrócił tak wyraziście w Petit Trianon Marii Antoniny, bardzo wówczas zaniedbanym (1969). Nasunęło mi się skojarzenie, jakiego doznałam w czasie zwiedzania. Oczywiście inny czas, inny poziom artystyczny, ale duch wewnątrz ten sam, duch na wskroś francuski.

Zabawy z braćmi bywały łobuzerskie, szczególnie te w ogrodzie. Huśtanie się na lianach, które łącznie z drzewami tworzyły gąszcz na obrzeżu nad śluzą, wysokim i stromym, powodowały obrażenia, podrapania i sińce, za co obrywaliśmy niezłą burę.

Gorsza w skutkach była jednak wojna na grudy gliny, które najpierw jako amunicję pracowicie zbieraliśmy na stoku. Wysmarowani, zmęczeni wracaliśmy do domu, gdzie o dziwo (!) czekała tylko ogromna blaszana wanna i kąpiel po kolei od najmłodszego do najstarszego. Dzisiaj takie praktyki wydają się być super niehigieniczne. A jednak byliśmy czysti i zdrowi. Kąpiel w wannie nie była taka prosta. Studnia na pompę żeliwną, bardzo ciężko chodzącą, znajdowała się po drugiej stronie ulicy. Trzeba było wodę nanosić wiadrami, nagrzać w kociołku. Wanna była duża, bez odpływu, dlatego wodę z niej wylewało się czerpakiem do zlewu. Konieczne czynności wykonywała z godnością, dziobata jak durszlak gosposia zwana Aleksandrową. Każdorazowe wyjście na ulicę obligowało ją do zmiany stroju na wyjściowy i poprawienia makijażu, a nakładała grubą warstwę różu, by choć trochę przykryć skutki strasznej choroby zwanej ospą. Zawsze przyglądałam się z niemałym podziwem, jak ona to szybko robiła.

Nasze czteropokojowe mieszkanie z kuchnią, przedpokojem i gankiem było urządzone prosto i skromnie. Dębowe meble z epoki modernizmu, robione na specjalne zamówienie ojca do

zamojskiego domu, bardzo pasowały i do tego również dworku. Zielona otomana z wysokim zapleckiem, pokryta obiciową tkaniną podobną do strzyżonego pluszu, w dotyku szorstkiego, stała na dużym, zielonożółtym dywanie. Obok kąta zajmował komplet salonikowy, skąpo tapicerowany i kryty wełnianym pasiakiem z przewagą zieleni, jakby nawiązującym do łowickich zapasek. Pod oknem frontowym stało mamy biurko z mnóstwem szufladek, a pod nim pokój miały moje lalki i nawet światełko elektryczne zrobił mi Witek z bateryjki od latarki. Na środku stał duży stół, normalnie sześćoosobowy, a w razie potrzeby rozsuwany na dodatkowe 4-6 osób. Między dwoma oknami od ogrodu warzywnego, znajdowało się ogromne biurko taty i w kącie kredens. W oknach wisiały muślinowe, białe firanki, podpięte po bokach. Nasze meble, wszystkie zostały zaprojektowane przez ojca, był utalentowany artystycznie i w młodości próbował i malować i rzeźbić. Wielka szkoda, że nie mógł z powodu I wojny światowej rozwinąć swych zdolności.

Babunia, Władysława z Taczanowskich Fabijańska wcześniej owdowiała, gdy syn miał zaledwie 9 lat, a młodsza córka Janina zaczynała chodzić do szkoły. Stało się to nagle, podczas świąt Bożego Narodzenia w Poturzynie, dokąd pojechali w mroźną i śnieżną porę do rodziny sankami. Dziadek, który siedział obok stangreta i zabawiał go rozmową po tej podróży, zachorował na gardło. Silna gorączka, brak lekarza, może i zlekceważenie czy zbagatelizowanie nagłej choroby spowodowały zgon. Został

pochowany w Oszczowie koło Poturzyna, bo tam była parafia i cmentarz. Próżno po latach na tym wiejskim cmentarzu szukaliśmy grobu dziadka. Nigdy wcześniej nikt mnie tam nie zawiózł.

Wspomnienia ukazują się w trzeci piątek miesiąca.

Poprzednia część wspomnień „Z rodzinnego albumu”:

<https://www.cultureave.com/z-rodzinnego-albumu-zamosc/>

O Czumowie:

<https://www.cultureave.com/polskie-siedziby-rodzinne-czumow/>

Z rodzinnego albumu.

Zamość.

Rozpoczynamy publikację wspomnień Teresy Fabijańskiej-Żurawskiej, twórczyni historii pojazdów konnych, przez wiele lat związanej z Powozownią Zamkową w Łańcucie. „Z rodzinnego albumu” to losy rodziny pochodzącej z Wołynia, z dramatycznymi dziejami w tle, ale też pasjonująca praca, podróże, spotkania z ciekawymi ludźmi. Autorka dzięki wielkiej wrażliwości i talentowi literackiemu wspaniale nakreśliła życie Polaków, dla których, mimo trudnej historii, polska tożsamość i dziedzictwo kulturowe stanowiły największą wartość.

Kolejne części będą się ukazywać w trzeci piątek miesiąca.

Joanna Sokołowska-Gwizdka, red. magazynu „Culture Avenue”.



Dom drewniany w Zamościu, w latach 1927-1975 własność Józefa Fabijańskiego, rys. Wrzesław Żurawski

Teresa Fabijańska-Żurawska (*Łańcut*)

Moje życie związane jest z kilkoma miejscowościami. Wszystkie są historycznie ważne, kulturowo bardzo ciekawe, artystycznie piękne i słynne.

Urodziłam się w Zamościu - późnorenesansowym mieście-twierdzy założonym w 1580 r. Przez hetmana Jana Zamoyskiego, kanclerza wielkiego koronnego. Miasto to zaprojektował w całości architekt - urbanista włoskiego pochodzenia, Bernardo Morando. Zamość posiada ok. 120 zabytków architektury, do których należą m.in. najwspanialsza kolegiata (obecnie katedra),

ratusz wraz z zespołem podcieniowych kamienic wokół rynku, zamek, a może raczej pałac Zamoyskich, przed którym postawiono pomnik założyciela, Jana Zamoyskiego na koniu, wykonany w konwencji znanych arcydzieł renesansowej rzeźby włoskiej. Pięknie się tam prezentuje i przypomina początki naszej Padwy Północy, jak zwykle się określać tę perłę miast. Zabytkiem jest gmach Akademii Zamojskiej (1594), do której uczęszczałam przez sześć lat szkoły średniej, kościół oo. Franciszkanów (przed wojną i po wojnie było tam kino i sala widowiskowa, gdzie graliśmy przedstawienia i słuchaliśmy koncertów znakomitych artystów polskich). Imponujący swą stylową formą architektury militarnej zespół fortyfikacji związany jest ze znanymi nazwiskami inżynierów i generałów włoskich i austriackich. Zachowana jest pamiątkowa cela, w której rząd carski więził Waleriana Łukasińskiego w latach 1824-26 za działalność patriotyczną. Jedną z pierwszych budowli wzniesionych przez B. Moranda był arsenał, usytuowany obok pałacu, mieszczący dzisiaj ciekawe zbiory muzealne z zakresu militariów. Istnieją cztery bramy wjazdowe w fortyfikacjach miasta z tym, że pierwsza brama Lubelska została zamurowana na pamiątkę przejazdu arcyksięcia Maksymiliana austriackiego po wzięciu go do niewoli w 1588 r. w przegranej bitwie pod Byczyną. Zwycięskie wojska hetmana konwojowały dostojnego więźnia w małej karetce, ale przez tę bramę nikt już więcej nie przejechał. Wybudowano drugą, obecnie zrekonstruowaną. Miasto Zamość zostało wpisane w 1980 r. na listę międzynarodowego

dziedzictwa kulturowego i jest Pomnikiem Historii. Jest to także miasto-bohater odznaczone Krzyżem Grunwaldu III klasy.

Na przestrzeni dziejów Zamość wiele wycierpiał. Po pierwszym rozbiore Polski w 1772 r. zajęli miasto Austriacy. Dokonali wielu zniszczeń jego form artystycznych, traktując renesansowe ozdoby np. attyki, jako zbędne dla koszar wojskowych. Zubożona przez to została ich koronkowa dekoracja, jedyna w skali całego rynku, tak unikatowego miasta, gdzie każda kamienica posiadała na parterze podcienia, reprezentacyjne pierwsze piętro (odpowiednik piano nobile w pałacach) i mezzanin z attyką zasłaniającą pogrążony dach, zupełnie niewidoczny. Było to cudownie pomyślane, bowiem dekoracja architektoniczna i sztukatorska, na każdej kamienicy inna, podkreślona tu została kolorem mocnym, ale harmonizującym z całością. Chciałoby się powiedzieć - kolorowe, koronkowe miasto. Niestety, nie przywrócono tego w czasie rewaloryzacji trwającej długie lata 70. i 80., a mającej na celu m.in. „wydobycie zatartych walorów artystycznych”.

Zamość, chociaż uczestniczył we wszystkich wojnach, jakie na tych terenach się toczyły, nigdy nie był zniszczony działaniami wojsk. Twierdza zdała egzamin. Najboleśniej ostatnia wojna światowa lat 1939-1944 (dla tych terenów) pozostawiła Pomnik Martyrologii w rotundzie odległej od murów miasta ok. 1 km. Jest tam dzisiaj Mauzoleum Martyrologii Zamojszczyzny. Była to

niegdyś działobitnia wzniesiona w latach 1825-31 przez rząd carskiej Rosji (od 1815 zabór rosyjski) z czerwonej cegły w kształcie obwarzanka z celami wewnątrz i dziedzińcem z bramą wjazdową. Na tym dziedzińcu palono zwłoki więźniów trzymany w okropnych warunkach i ścisku. Rozstrzeliwani byli na miejscu. Do dzisiaj brama nosi ślady odłamków kul, a wyrwa w murze po lewej stronie za bramą, za drutem kolczastym - to miejsce straceń. Ginęła tu przede wszystkim inteligencja, działacze ruchu oporu i ludzie o zdolnościach przywódczych. Ginęły tu również dzieci przywożone z terenów pacyfikowanych przez hitlerowców. Ostatni ordynat zamojski, senator Jan Zamojski, wraz ze swoją żoną uratowali 300 dzieci, organizując im opiekę, wyżywienie, mieszkanie i naukę w Zwierzyńcu, gdzie mieszkali w latach okupacji. Te miały szczęście, po wojnie niektóre odnalazły rodziców.

W latach po okupacji hitlerowskiej Zamość leczył rany psychiczne i rozwijał się edukacyjnie i kulturowo. Było dużo szkół, także średnich, teatr amatorski, oczywiście przedstawienia szkolne, rewie, pokazy sportowe, ogniska harcerskie z artystyczną oprawą. Znakomicie dobierało repertuar kino „Stylowy”, do którego chodziło się na najgłośniejsze filmy zarówno zagraniczne, jak i polskie przed i powojenne.

Od 1975 r. podniesiono status miasta na wojewódzkie. Miało to pozytywny wpływ na rozwój urbanistyczny. Powstały nowe

osiedla mieszkaniowe. W Akademii Zamoscensis znów otworzono uniwersytet. W hierarchii kościelnej kolegiata stała się katedrą, a w miejsce kolegium powstała kuria biskupia.



Babcia i córki - Czernichów, Ukraina, ok., 1910. Maria z de Schmieden-Kowalskich Piątkowska (ciocia Nusia) - z prawej, Emilia de Schmieden-Kowalska (ciocia Milusia) - z lewej, Maria Joanna z Moszynskich Anzelmowa de Schmieden-Kowalska (babcia) - w środku.

W 1932 roku, w Zamościu, pewnego jesiennego dnia, 30-go września, gdy słońce było w znaku wagi, wydarzyło się coś chyba

ważnego w rodzinie Józefa Wita Fabijańskiego i Eleonory z De Schmieden-Kowalskich, w ich własnym domu przy ulicy wówczas Lwowskiej, obecnie Partyzantów. Później komputer mi powiedział, że był to piątek - oznacza to pracowite i postne życie, do tego kryzysowe. Ci, którzy rodzą się pod znakiem „wagi” mają trudne życie, dźwigają swój ciężar, rozważając wszelkie za i przeciw. Ela, moja starsza siostra mówiła mi, że urodziłam się w czasie, gdy cała trójka rodzeństwa poszła na spacer, a gdy wrócili, byłam już ja - czwarte dziecko, najmłodsze i ostatnie.

Rodzice pobrali się w 1923 r. w Łucku, gdzie znajomy dziadków, ksiądz biskup Dybowski udzielił ślubu w tamtejszej katedrze, obecnie znów oddanej katolikom. Zamieszkali w Zamościu początkowo w wynajętym domu, podobnym do naszego, który już nie istnieje. Tam urodziło się dwoje z mojego rodzeństwa: Ela (1924) i Witek (1926). Później przenieśli się do swojego domu i tu przyszedł na świat Julek (1928) i ja (1932). Potem jeszcze Baśka, córka Witka (1954), a na koniec Wrzesław, mój syn (1957).

Pamiętam rozkład pokoi wtedy, gdy jako trzyletnie dziecko biegałam po domu ślizgając się na zawsze wyfroterowanych podłogach o długich deskach z sękami i dużymi gwoździami. Podłogi te były piękne, lśniące i wymagały ogromnej pracy.

Czas moich narodzin był fatalny. Światowy kryzys spowodował

bezrobocie. Dotknęło ono i mojego ojca, który ze stanowiska dyrektora prywatnej fabryki pana Kowerskiego, po jego śmierci i likwidacji zakładu, stracił pracę na kilkanaście miesięcy. Próby założenia własnej fabryki owoców i warzyw suszonych we Włodzimierzu Wołyńskim, skończyły się na plajcie, a wszystkie urządzenia, maszyny, suszarki, krajalnice itp. przyjechały do Zamościa i na strychu domu były przez wiele lat, nawet coś jeszcze zostało po wojnie. A więc nie zostałam córką fabrykanta. Natomiast brak pracy spowodował zwolnienie domowej służby i mój ojciec z konieczności więcej zajmował się mną, niż starszym rodzeństwem. Z ojcem zasypiałam, z ojcem wstawałam w nocy. To dobrze pamiętam. Może dlatego tak bardzo kochałam tego mojego tatusia.



Tata: Józef Wit Fabijański, w mundurze POW-iaka marszałka J. Piłsudskiego,

Sypialnia rodziców znajdowała się wtedy w pokoju od północy, oddzielonym od reszty domu przedpokojem. W pokoju jadalnym, centralnie położonym, było mnóstwo białych, filunkowych drzwi. Wchodziło się przez ganek i przedpokój na lewo do dużego pokoju, który długo był naszym dziecinny, na prawo do małego pokoju-saloniku i do kuchni. Naturalnie, szerokie przeszklone drzwi z bocznymi, wąskimi oknami wychodziły na werandę i oświetlały ten przyciemnawy zwykle pokój malowany olejno w modne wówczas boazerie, niby deski na zmianę ciemne i jasne aż

do sufitu. Pokój ten był najmiłszy wieczorem, gdy gromadziliśmy się wokół dębowego stołu. Życie rodzinne miało wtedy swój niezrównany charakter ciepła i bliskości. W świetle secesyjnej lampy, której jeszcze szczątki istnieją, siadaliśmy do kolacji, a później każdy coś czytał, szył, czy rysował. Nie było przecież telewizji, więc wieczory były organizowane inaczej. Po wojnie ojciec głośno nam czytał historyczne książki. Latem, szeroko otwarte drzwi stwarzały szczególny urok tego wnętrza, zwłaszcza w porze obiadowej w słoneczne dni. Nigdy tu nie było upału, a zimą długie promienie kładły się w głąb sięgając stołu. Urocze było to nasze miejsce, takie przytulne i tak łatwe w kontakcie z ogrodem, gdzie jaśmin można było rwać z okna, a duże donice z drzewkami pachnących oleandrów, różowych i fioletowawych, zdobiły dookoła werandę, późnym latem pachniały floksy w różnych odcieniach barw.

Niestety, po wojnie brak pieniędzy, zniszczenia i niedbałość lokatorów podczas lat naszej emigracji oraz totalna niemożność systemu administracyjnego, spowodowały, że dom starzejąc się robił się coraz zimniejszy i mimo gorących pieców temperatura w wietrzne zwłaszcza dni była za niska. Biedni rodzice z ciocią Izią, siostrą mamy, która wróciła właśnie z Kazachstanu jako gomułkowska repatriantka, marzli przez wiele lat i męczyli się w prymitywnych warunkach, jakie wtedy były przecież w Polsce wschodniej powszechne. Ale przywiązanie do tego domu i nasze przyjazdy trzymały ich psychicznie i fizycznie, praktycznie do

końca życia.

We wczesnym dzieciństwie zamojskim miałam trzy groźne przygody. Każda z nich mogła zakończyć się tragicznie. Najpierw, jako niemowlę zostałam nakarmiona przez nianię zielonymi porzeczkami. Ledwie mama odchuchała. Później, gdy już chodziłam, weszłam za służącą po bardzo stromych schodach na strych. W połowie drogi straciłam równowagę i spadałam. Szczęściem Jaś Piątkowski, brat cioteczny, właśnie wchodził i złapał mnie w powietrzu za sukienkę. Trzecia przygoda, którą także znam tylko z opowiadania, zdarzyła się na wiosnę. Mogłam mieć wtedy niespełna trzy latka. Starsze dzieci bawiły się w ogrodzie zajęte sobą, a ja dreptałam po grządkach i nagle wpadłam do płynnego śmietnika. Brat zauważył, że mnie nagle nie ma, narobił wrzasku i zostałam wyciągnięta za futerkowy płaszczyk tyczką do zrywania gruszek. Widocznie nie taki koniec mi w niebie przeznaczono.



Mama - Eleonora z de Schmieden-Kowalskich, Józefowa Fabijańska

Z uroczystości rodzinnych pamiętam większy rodzinny zjazd i zaprzyjaźnionych gości kiedy to nas, dzieci było dużo więcej i z tej okazji skorzystała moja siostra urządzając chrzciny lalki - Magdy, ślicznej, porcelanowej, zamykającej oczy z długimi rzęsami. Deska od stołu posłużyła za ołtarz. Lila, siostra cioteczna była księdzem w nocnej koszuli, bracia Witek i Julek służyli do mszy, a po tym wszystkim zaproszono nas do stołu na smakołyki. Pamiętam nasze zabawy w ogrodzie na wiosnę. Gry w

„kiczkę” i w palanta, a przede wszystkim w chowanki, gdyż ogród przed domem był nie tyle duży, co gęsto zarośnięty. Pod płotem maliny, przez środek alejka z krzakami porzeczek i agrestów. Drzewa jabłoni, grusze ozdobne krzewy bżów po bokach ganku, sercowaty klomb na osi z bajecznie kolorową mieszaniną o każdej porze innych gatunkowo kwiatów. Na obrzeżach, pod płotami sąsiadów rosły złocienie i floksy stwarzając możliwości kryjówek nie do odkrycia. Podwórze, przez które trzeba było przechodzić do nas, to były ogródki przed i dookoła każdego domu, a było ich pięć z naszym. W tym podwórzu rosła kochia - roślina-samosiejka, której nikt nie pielęgnował, ale rosła bujna, wysoka i rozłożysta, czasem smukła na kształt włoskich cyprysów. W niej najlepsze były chowanki, ale to było możliwe dopiero późnym latem. Lubiłam bardzo bawić się lalkami na schodach ganku, zwłaszcza w upalne dni. Ulubione zabawy w dom z gotowaniem na niby, z szyciem ubranek dla lalek i pożytecznym robieniem na drutach. Byłam w tym wszystkim zwyczajną, przeciętną dziewczynką, ale jedno różniło mnie od moich towarzyszek zabaw dzieciennych. Uwielbiałam wszystko, co piękne: ładne mieszkania, przedmioty artystyczne, stare antyki, musiał być ład i porządek, mieszkanka lalek posprzątane i ozdobione kwiatami, serwetkami, tkaninami, dywanikami. Przytulność, ciepło tkanin były mi zawsze potrzebne. Kiedy mieszkanie lalek, które znajdowało się pod biurkiem mamy, było wysprzątane oddawałam się cała doznaniom estetycznym i każdą zauważoną niedoskonałość, czy

szpetotę starałam się zasłonić: obrazem, meblem, tkaniną, lub kwiatem, aby nie raziła oczu, aby nie budziła poczucia wstydu, czy zażenowania.

Zamość z dzieciństwa i lat trzydziestych, pozostał w mej pamięci uroczysty, świąteczny, wyjątkowy. Pamiętam dobrze nastrój przedświąteczny w naszym domu i ogromną choinkę do sufitu, stojącą na dywanie francuskim w naszym, dzieciennym pokoju. Paliły się na niej lampki Philipsa kolorowe, podobne w kształcie do dużych śliwek. Bombki, łańcuchy z kolorowego, glansowanego papieru, paciorkowe kapliczki, koszyczki z wydmuszek i dzbanuszek czy ptaki, a wreszcie soplowate cukierki w błyszczących papierkach, pierniczki, szyszki, orzechy i czekoladowe cudeńka w cymfoliach - sprawiały, że choinka była bogata i przyciągająca największe łakomczuchy. Może w tym roku, ostatnim przed wyjazdem do Hrubieszowa, dostałam na gwiazdkę ukochanego Bila - psa-zabawkę z niebesko-żółtej flaneli z noskiem czarnym i pyszczkiem w pepitę. Został zapomniany na piecu, ku mojej rozpacz.

Inspiracją i pobudzeniem wyobraźni dziecięcej byli kolędnicy, chłopcy z sąsiedztwa zarówno ci, co śpiewali: „po kolędzie, głośno wszędzie, niech pan Fabijański zdrów i wesół będzie ...”, jak i też ci, którzy przychodzili do kuchni z jasełkami posługując się kukiełkami własnej roboty i tekstami anonimowych autorów ludowych. Najbardziej podobała mi się kolorowa, duża gwiazda,

którą obracał chłopak ubrany w kozuch do góry włosem, gwiazda wtedy rzucała coraz to inny migotliwy blask od zapalonej w środku świeczki. Była dla mnie czymś niezwykłym, przepięknym, magicznym. Wśród jasełkowych postaci obowiązkowo musiał być diabeł, król Herod i Żyd w świątecznych, karykaturalnych przebraniach. Kolędnicy po występie dostawali ciasto, łakocie i pieniądze. Pamiętali to do następnego roku.



Na Wielkanoc punktem kulminacyjnym przygotowań było pieczenie drożdżowego ciasta w prawdziwym, babowym piecu, który przetrwał do końca bytu moich rodziców, mimo, że zajmował 1/4 kuchni. (Baby Wielkanocne piekło się w ogromnych, kamiennych formach karbowanych, okropnie ciężkich). Do pomocy w tym okresie przychodziła sympatyczna kobieta zwana Antoniową. Przynosiła z sobą lampę naftową, którą zapalała wieczorem w sieni dla „pokutujących duszyczek”, jak mawiała. Wyobraźnia dziecięca intensywnie wtedy pracowała, chcąc koniecznie ujrzeć taką duszyczkę.

Zamość przedwojenny pozostał w pamięci, jak kilka barwnych plam na obrazie impresjonistycznym. Nałożyły się na nie ciemniejsze kolory okresu stalinowskiego, biedy i przygnębienia, represji i podłości. Ale nie chcę Zamościa wspominać z tego smutnego okresu, przynajmniej nie teraz.

TERESA-ZOFIA FABIJAŃSKA-ŻURAWSKA ur. 30 września 1932 r. w Zamościu, w Polsce, emerytowany starszy kustosz Muzeum-Zamku w Łańcucie, jest historykiem sztuki ze specjalnością w dziedzinie pojazdów konnych. W 1956 r. ukończyła studia Historii Sztuki na Wydziale Humanistycznym Katolickiego Uniwersytetu Lubelskiego (KUL) otrzymując tytuł

magistra. Doktoryzowała się w Warszawie w Instytucie Sztuki Polskiej Akademii Nauk, uzyskując tytuł doktora nauk humanistycznych w 1982 r. W latach 1963-1994 pracowała w Muzeum-Zamku w Łańcucie kierując Działem Pojazdów Konnych. W latach 1984-1987 wykładała na Katolickim Uniwersytecie w Lublinie. Były to wykłady monograficzne z zakresu historii pojazdu zaprzęgowego, jego miejsca w kulturze, sztuce i obyczajach. Słuchaczami byli studenci Historii Sztuki - III-V roku studiów. Podczas wielu lat pracy w Muzeum organizowała wystawy na terenie Polski i w samym Łańcucie, prowadziła działalność popularyzatorską i dydaktyczną. Napisała i opublikowała 36 książek i ponad 100 artykułów związanych z dziedziną pojazdów konnych. Od 1965-1993 roku brała czynny udział w konferencjach Międzynarodowego Stowarzyszenia Muzeów Transportu (IATM) przy ICOM (International Council of Museums), reprezentując Polskę i Łańcut, wygłaszając referaty o polskich zbiorach muzealnych, problemach konserwatorskich dotyczących różnych eksponatów np. kolaski polskiej z XVIII w., na temat rekonstrukcji karet Jana III Sobieskiego i pracach dydaktycznych w muzeach. Wszystkie wygłoszone referaty zostały opublikowane w roczniku Stowarzyszenia IATM pt. „The Transport Museums”. Miejsca gdzie odbyły się te konferencje to: Budapeszt, Frankfurt/M, Paryż, Praga, Waszyngton. Dla pogłębienia wiedzy wyjeżdżała na stypendia do Francji, Portugalii, Włoch oraz do Belgii, Holandii, Anglii, Niemiec, Austrii, Szwajcarii, Danii, Szwecji, USA, Rosji, do Czech i na

Węgry, służbowo lub prywatnie, zapoznając się tam z muzeami państwowymi i kolekcjami prywatnymi dotyczącymi pojazdów konnych, obyczajów i etykiety dworskiej i dyplomatycznej. W Paryżu, pod patronatem Sorbony, odbywała badania i poszukiwania archiwalne, poznawała kolekcje i biblioteki, m.in. słynne zbiory „Hermesa” przy Faubourg St. Honore i Compliegne poza Paryżem.

Polskie siedziby rodzinne. Czumów.



Pałac w Czumowie

Teresa Fabijańska-Żurawska (*Łańcut*)

W Czumowie

Mieszkam dziś w pałacu z elegancką wieżą
Obok tuż zielone, pyszne łąki leżą,
Dalej, hen za Bugiem, świecą nagie piaski,
Jakby zabuźniakom skąpił Pan Bóg łaski.
Bliżej ciemną falą niesie Bug ponury,
Niesie i uderza nią o strome góry,
Lub po niskim brzegu sunie ją łagodnie,
Tak wędruje fala całe dnie, tygodnie,

Aż się wreszcie złączy z falą Matki-Wisły
Której źródła także w polskiej ziemi trysły.
I po jej korycie biegnie w świat daleki,
Bo nasz Bug i Wisła, to dwie polskie rzeki.

Z innym kto widokiem zwrócić chce swe oczy,
Niech na balkon wieży murowanej kroczy.
Stamtąd jak na dłoni widzisz pola, góry.
Które, zda się, w dali są podporą chmury.
Na zachodzie widać ciemną ścianę gaju,
A na północ góry nieco odchylają
Widok na część tylko wschodnią, Hrubieszowa,
Reszta się dyskretnie za pagórkiem chowa.

23.VI.1909.

Wiersz ten napisał młody guwerner dzieci Pohoreckich, do których pałac czumowski należał do I wojny światowej. Guwerner ten był historykiem z wykształcenia. Nazywał się Antoni Wiatrowski. Później mieszkał z rodziną w Hrubieszowie, uczył w liceum i pisał pierwszą monografię dotyczącą Hrubieszowa i okolic. Nie znałam go osobiście, ale z jego najmłodszą córką chodziłam do jednej klasy. Przyjaźniłyśmy się. Po latach, pogubione, po wojnie odnalazłyśmy się. Byłyśmy razem w Czumowie i efektem odnowionej przyjaźni są przysłane

dla mnie odbitki rysunku pałacu z 1910 r. i wiersz. Piękna sprawa. Te młode drzewa na rysunku, w moich czasach były ogromnymi lipami, a dookoła było pole z cudownymi alejami, sad, rosarium przed pałacem, warzywnik od strony Buga i cudowne spacerki.



Pałac w Czumowie, rys. Antoniego Wiatrowskiego z 1910 r.

Pałac w Czumowie pobudowany został na wyniosłym brzegu rzeki Bug, w wyjątkowo pięknym krajobrazie, wybranym przez

ludzi, ale obdarzonym przez Boga szczególnym urokiem. Pradolina Bugu między wsią Gródek, niegdyś jednym z grodów Czerwieńskich, a czumowskim dworem nosi nazwę „Królewskiego Kąta” na pamiątkę historycznej przeprawy Bolesława Chrobrego w drodze na Kijów. To tutaj Świętopełk witał polskiego króla. Pałac, swym usytuowaniem i tarasami patrzy na ten rozległy widok, na płynącą zakolem malowniczym rzekę, jej oba brzegi – łagodny i stromy i na prehistoryczne wzniesienie z Gródkiem.

Dzisiejsza budowla powstała zapewne w końcu XIX w. wchłaniając, być może, wcześniejszy dwór szlachecki. Rodzina Pohoreckich (Edward zakupił dobra czumowskie od Kazimierza Andrycza w 1891 r.) powierzyła zaprojektowanie siedziby dwóm włoskim architektom, których nazwiska nie są nam znane. Zgodnie z panującą w epoce „fin de siècle” modą, powstała budowla rozrzutna z obszernymi suterunami, pretensjonalną wieżą – klatką schodową, dużymi komnatami, tarasami widokowymi, dwoma gankami, podjazdem, kaplicą i pomieszczeniami gościnnymi na piętrze. Eklektyczna architektura z przewagą stylu klasycystycznego jest mieszanką rustykalnej willi włoskiej, z dworem polskim i bogatą kamienicą mieszczańską, z dodatkiem romantyzmu w cebulkowatych hełmach: dużym przykrywającym wieżę i w wykończeniach dziś nieistniejących sterczynek na narożnych skarpach. Otaczał go niewielki park spacerowy, ogród warzywny i sad od strony zachodniej. Na obrzeżu skarpy posadzono miodne lipy, które

tworzyły zielony parawan od północy otulając pałac i zasłaniając od chłodu wiatrów zza Buga. Dojazdowe aleje - topolowa prowadziła przez zabudowania folwarczne, kasztanowa przed ganek paradny. Trzecia aleja, niezwykła, ze starych orzechów amerykańskich, łączyła folwark z czworakami, wyznaczając jednocześnie kres parku.

Historia czumowskiego pałacu wiąże się ściśle z historią dwudziestowiecznej Polski. Do I wojny światowej siedziba rodu arystokratycznego, w czasie wojny austriacki szpital wojskowy, lazaret wojenny. Od 1913 r. pałac odziedziczył Władysław Pohorecki. Po wojnie zniszczony budynek nie od razu był zamieszkały. Wiadomo, że w 1931 r. ziemię orną, o powierzchni ponad 300 ha, folwark i pałac przejęła w dzierżawę wdowa Maria Piątkowska z De Schmieden-Kowalskich (moja ciocia Niusia, najstarsza siostra mamy) do spółki z Pawłem Kubaszewskim. Piątkowscy gospodarowali i mieszkali w odremontowanej zachodniej części z wieżą, praktycznie do wybuchu II wojny światowej. We wrześniu 1939 r. rodzina musiała opuścić Czumów. W pałacu, zdewastowanym przedtem przez zapędzone wojska sowieckie, urządzano koszary dla straży granicznej zw. Grenschutz. Przeprowadzony przez Niemców remont zniszczył elementy stylowe architektury, wycięto drzewa i krzewy, oszpecono lipy.

Teren parkowo-ogrodowy został ogrodzony zasiekami i drutem

kolczastym, pilnowały go specjalnie tresowane owczarki alzackie gotowe rozszarpać każdego, kto by zechciał tam wtargnąć. Latem 1944 r. ten stan koszar - więzienia przejęło polskie Wojsko Ochrony Pogranicza (WOP). W rok po wojnie, w 1946 r. Pałac z otoczeniem przeszedł na skarb państwa. Przejął go Państwowy Fundusz Ziemi. Po wschodniej stronie pałacu, tej reprezentacyjnej w zamyśle architektów -budowniczych, gdzie były duże i szerokie komnaty, miejscowa gmina ulokowała Szkołę Podstawową. W zachodniej zamieszkali pracownicy Państwowego Gospodarstwa Rolnego (PGR). W każdej komnacie jedna rodzina wraz z własnym inwentarzem. Coraz bardziej zaniedbany i zdewastowany pałac powoli pustoszał. Przeniosła się szkoła, wyprowadzali się ludzie w miarę przybywania dziur w dachu. Wreszcie w 1988 r. został sprzedany trzem prywatnym osobom, z których jedna zmarła, dwie pozostałe podzieliły się i terenem i pałacem. Powoli obaj właściciele starali się doprowadzić do stanu kwitnącego, może nawet bogatszego niż był. Doprowadzony został prąd i woda, zrobiona nowa kanalizacja, położone nowe stropy, pokrycie dachowe, tynki zewnętrzne, zagospodarowane sutereny. Powstało miejsce wypoczynku, konferencji, zjazdów, letnich pikników. Wygląd otoczenia zmienia się z roku na rok. Stała reprezentacyjna brama u wjazdu, odgrodzono estetycznie część wschodnią z dawnym warzywnikiem, dzisiaj rozległym trawnikiem.

Marzę o tym, by doczekać chwili, gdy będę mogła pojechać tam i

bodaj na krótko zamieszkać, koniecznie w maju, posłuchać koncertów słowicznych i żabich, popatrzeć na wstęgę Bugu, świeżą zieleń różnych odcieni i odmian krzewów wikliny, odszukać jedyne stanowisko szczodrzeńca wśród płatów roślinności stepowej.

Od 1997 r. obszar pałacowo-parkowy znalazł się w obrębie „Nadbużańskiego Obszaru Chronionego Krajobrazu” i przeznaczony jest pod usługi kultury i turystyki.

Z Hrubieszowa do Czumowa jeździliśmy końmi, które po nas przysyłano, najczęściej była to małopolska bryczka, ale pamiętam i sanie. Odległość 7 km to niedaleko, lecz podróż ta była całą wyprawą przez lessowe podłoże, polskim gościńcem. W letnią suszę less zamieniał się w tumany kurzu, a w deszcze w błotnistą, nieprzejezdną maź. Nie było możliwości ominięcia jednego niebezpiecznego miejsca, bo część drogi biegła wąwozem, zostawiając po prawej pola folwarczne, a po lewej wysokie wzniesienie z miejscowością Gródek, nie widoczną z drogi. Po przejechaniu wąwozu, z daleka widać było aleje starych drzew. Po drodze rosły jeszcze inne drzewa, duże, liściaste, szumiące i po obu poboczach drogi zarośla, krzewy, piękne osty i mnóstwo kolorowych kwiatów polnych, których nazw nigdy nie zapamiętałam. Gatunki wyjątkowe, jak mówią znawcy -

roślinność stepowa.



Pałac w Czumowie, fot. z lat 90. XX wieku. Dwie małe postacie przed pałacem, to dzieci Antoniego Wiatrowskiego, guwenera dzieci Pohoreckich

Pachniało tam łąkami soczystymi i ukwieconymi, koniczyną i miodnym rzepakiem, którego złote łany szczególnie przyciągały oczy. Po lewej, w „Królewskim Kącie” malowniczo układały się krągłe krzewy łożyny w przeróżnych odcieniach zieleni i sre-

brzystości. Bieg rzeki miękką linią rysowały wikliny wplątane w chaszczę, ponad którymi lubiły strzelać wysokie, dorodne, złociste dziewanny.

Podjeżdżaliśmy pod pałac zawsze przez czworaki dworskie, biało pobielane, strzechą ze słomy kryte, ciągnące się po lewej na płaskowyżu, zaraz na początku wsi. Aleją kasztanową, za którą były pola pszeniczne, przez mostek na kanale, koło starego kasztanowca z drewnianą wiszącą kapliczką, miejsc wieczornych śpiewów majowych, mijając cudowną aleję orzechów amerykańskich, bardzo rzadkich (spotkałam takie same na wyspie św. Małgorzaty w Budapeszcie i Lexingtonie w Stanach Zjednoczonych - tylko te dwa razy, a szukałam wszędzie w licznych moich wędrówkach po świecie). Aleja ta okalała łukiem południowo-zachodnią część parku, prowadząc do zabudowań gospodarczych fornali, a dalej do folwarku dworskiego. Od pałacu szło się na folwark drogą dzielącą sad i jagodnik, gdzie były truskawki i poziomki ogrodowe w grzędach oraz rajskie jabłonie, z których jabłuszka rumiane smażyło się w syropie w całości, razem z ogonkami, by później zdobiły torty i mazurki świąteczne. Konfitury z truskawek znakomicie smakowały w ciasteczkach zwanych „trzewiczkami”. Babunia chowała je w wielkim blaszanym pudle po herbacie cejlońskiej. Pachniało nimi zawsze w kredensie. Zapach nagranych słońcem poziomek towarzyszy mi do dzisiaj. Bardzo chciałam stworzyć namiastkę tego drogiego mi wspomnienia we Wrzechowym (mojego syna Wrzesława)

ogrodzie, ale nie dano mi, cieszyć się tym cudem natury.

To, co było ciekawe dla mnie, wówczas dziecka 5-6 letniego - to oczywiście zakazany folwark, z jego oborą, stajnią, zagrodą dla końskiej młodzieży, chlewnią, parnikiem, kuźnią, rymarnią, stelarnią, stodołą, gdzie ogromna lokomobila z wyciem młóciła dorodne zboże, a furmanki co jakiś czas odwoziły załadowane ziarnem worki do spichlerza. Ta podróż na workach była szczytem radości i dumy, im wyżej, tym lepiej.

Kiedyś ubrana w czarną, aksamitną sukienkę (po Eli) z białymi mankietami i kołnierzem „bébé” asystowałam przy młócce w pyłe, który osiadał na aksamicie zmieniając czerń w szarość. Co się działo we włosach, nie chcę nawet wspominać. Najbardziej lubiłam wyprawy z Witkiem (bratem, Wiktorem) poza folwark w pola i łąki, gdzie wypatrzone gniazda trzmieli były celem słodkiego miodobrania. Jedna z wypraw mogła zakończyć się fatalnie - zostałam użądlnona w szyję. Piekący ból i opuchlizna wyciskały potoki łez. Witek był przytomny: wygrzebał w stoku grudkę wilgotnej gliny i natychmiast przyłożył. Zostałam uratowana i oboje uniknęliśmy lańska.

W większym gronie dzieci wybieraliśmy się daleko w pola. Składano tam słomę po młócce i układano pracowite sterty na kształt domu z dwuspadowym dachem. A my właśnie w tej słomie kopaliśmy tunele lub zjeżdżaliśmy na pupach z samej góry na

dół, naturalnie niszcząc pracę ludzi. Za to spotkała nas kara: źdźbła słomy wbijały się w miękkie części ciała i było z tym wiele kłopotu. Takich jednak zabaw nie było nigdzie i nigdy już potem.

Gdy byłam sama, lubiłam bawić się w podróż. Siadałam wtedy na ganku od wschodu, rozkładałam koce i obłożona lalkami i niby bagażami podróżowałam w dalekie kraje. Te marzenia częściowo się spełniły.

W Czumowie były pamiętne i uwiecznione przez mojego ojca na fotografiach, dalekie spacery z dorosłymi, hen, pod stok wzgórza gródeckiego. Po latach dowiedziałam się od siostry Eli, jakie to ciekawe archeologicznie miejsce. Gródek uważany jest za jeden z Grodów Czerwieńskich. Wyniki badań są znane i opublikowane przez Muzeum Okręgowe w Lublinie.

Inną przyjemnością i atrakcją były spacery końmi. Dla młodzieży linijka na trzy, cztery osoby siedzące bokiem na długim siedzisku tapicerowanym i bardzo spokojna szkapa w półszorku. Kiedyś Lili udało się nas wysypać do rowu. Czasem brakowało mojego rodzeństwa, bo rodzice delikatni, taktowni nie chcieli narzucać się z czwórką dzieci, mimo usilnych zaprosin. Często więc na wakacjach byliśmy rozparcelowywani: Ela do Wiszniowa do Lili, Witek do Zarzeczca do dziadka Taczanowakiego, Julek do pp. Du Château w Raciborowicach lub Strzelcach pod Hrubieszowem, a ja zostawałam z mamą, ciocią i babcią.



Rodzina Fabijańskich - mama (Eleonora z de Schmieden-Kowalskich), Witek (Wiktor), tata (Józef Fabijański), Julek (Juliusz), Ela (Elżbieta) i Teresa Zofia, z kokardą (autorka wspomnień)

Nudziłam się tego pięknego i upalnego lata 1939 r. toteż biegałam na zakazane mi czworaki i z dziećmi folwarcznymi poznawałam życie. Miałam wtedy niespełna siedem lat, we wrześniu miałam rozpocząć szkołę, tymczasem edukowali mnie chłopcy sadownika. Już wiedziałam w jaki sposób podbierają jabłka z sadu, jak pracują kowale, że rozżarzone żelazo parzy, do czego jest potrzebny byk w oborze zawsze z kółkiem w nosie, prowadzany na drągu. Uwielbiałam asystować przy dojeniu krów, nie przeszkadzał mi zapach gnoju, ani specyfika obrządku

bydła, za to lubiłam moment, gdy napełniano miski świeżym mlekiem i nie wiadomo skąd brało się mnóstwo kotów. Dawały się głaskać i mruzczały przymilnie. Za stodołą, na kieracie dzieci uczyły dzieci skąd się biorą dzieci. Nie byłam pojętna w tej materii i długo, długo tkwiłam w nieświadomości. Natomiast wielkie wrażenie graniczące ze zdziwieniem spotkało mnie w izbach folwarcznych czworaków. Czystość i schludność w jednościami z ubóstwem i prymitywem. Czworaki, chociaż tak je nazywano, nie były typowe, jakie spotykało się we dworach; a więc budynek drewniany, kwadratowy, kryty strzechą lub gontem, czy dranicami, podzielony wewnątrz na cztery równe części, w każdej jedna rodzina. Czumowskie raczej przypominały wołyńskie chałupy małorolnych czy bezrolnych wieśniaków. Wydaje mi się, że były to lepianki z gliny, pobielone, długie prostokąty, w każdym dwa lub trzy wejścia, przed każdym ławeczka. Przed wejściem „chodniczek” wylepiony gliną, po bokach ogródki z mnóstwem kolorowych kwiatów wiejskich, zagródka dla kur z płotem plecionym gęsto z wikliny i większe krzewy oraz malwy, słoneczniki, bób, fasola, groch. Wnętrze, które zapamiętałam było bielusińskie, czyste, przestronne z wielkim piecem na 1/4 izby wylepionym gliną i pobielonym wapnem. Płyta do gotowania żeliwna, z fajerkami. W jednym otworze tkwił sagan żeliwny na ciepłą wodę, pod płytą buzował wesoło ogień z chrustu zbieranego w lesie, w parku i z odpadów ze stelmarni. Gotowano właśnie kluski na wieczerzę. Zostałam zaproszona wraz z trojgiem innych dzieci, moich wakacyjnych

przyjaciół. Wszystkie dzieci usiadły na polepie, bo w izbie nie było podłogi z desek, wokół stołka do dojenia krów, na którym postawiono glinianą dużą miskę ze strawą. Każde pilnowało swojej drewnianej łyżki i spożywanie odbyło się niezwykle prędko. Bardzo smakowały mi te kluski ze skwarkami. Potem starsi ludzie posiadali na przyzbach i bajali sobie, a dzieci oplatając rączkami kolana, wpatrywały się w rozpryskujące co chwilę iskiarki, które natychmiast gasły, ale ogień igrał dalej dając tajemnicze cienie pełzające i tańczące po ścianach i prostych sprzętach. Stworzył się niepowtarzalny nastrój zadumy, było cicho, sennie i świerszcze zaczynały swój monotony koncert.

W Czumowie nie było światła elektrycznego, życie więc płynęło zgodnie z naturalnym zegarem - paniem kogutów, wschodami i zachodami słońca. Ta wielka, czerwona kula nad wstęgą Bugu gromadziła nas w domu, gdzie szykowano lampy naftowe i kąpiel. Jedno i drugie roznoszono do sypialni i pokoi gościnnych. Lubiliśmy jeszcze chwilę posiedzieć na nagranych słońcem kamiennych schodach przy wieży czując, jak mury oddają swe ciepło. Jeszcze teraz, gdy od czasu do czasu odwiedzam Czumów, mam to wielkie pragnienie, by posiedzieć na wiekowych stopniach, wciąż przecież tych samych.

Z Czumowem wiąże się nie tylko ostatnie lato przedwojenne, beztroskie, najbardziej zapamiętane, ale i to, co bardzo smutne i

tragiczne dla rodziny, dla kraju: początek wojny i nasza wędrówka za Bug, nasz uchodźczy los.

Już pierwsze dni września zaczęły być tłumne od ludzi zwanych przez nas uciekinierami z Poznania i z Warszawy. Było ich coraz więcej i zajmowali wszystkie możliwe do spania miejsca. Ciocia Niusia, która ledwie wróciła po szpitalu z Warszawy, dwoiła się i troiła wraz ze służbą, nie tak znów liczną, szykując wciąż nowe pomieszczenia, posłania i posiłki. Panowała psychoza lęku, wręcz panika. Jedni wyjeżdżali gdzieś dalej na wschód, na ich miejsca zaraz przybywali nowi. Opowiadali straszne rzeczy, jak wojska niemieckie palą i niszczą naszą ojczyznę. Ludzi traktują, jak bydło, każą porzucać domy i mieszkania. Wywożą nie wiadomo dokąd. Te wieści dochodziły zewsząd, niesione przez ludzi do ludzi, budząc strach, dezorientację, naruszając dotychczasową normalność i stabilność. Mroziły krew w żyłach. Wszyscy panicznie bali się Niemców. Ojciec mój (miał jut czterdzieści lat i był w rezerwie) otrzymał długo wyczekiwane wezwanie do wojska. Miał się stawić 9 września w Tomaszowie Lubelskim. Pożegnał więc nas mocno tuląc, ucałował mamę i poszedł ... poszedł na wojnę...



Pałac w Czumowie

A my po kilku dniach z Hrubieszowa, wróciliśmy do Czumowa, bo szkoły były zamknięte, nie było chleba i jakoś straszno się wkoło zrobiło. W Czumowie zresztą też, ale tu przynajmniej jeszcze było mleko i piekło się chleb.

Ludzie opowiadali dziwy. Pamiętam, jak stróż nocny przyszedł do babci i zdenerwowany, wstrząśnięty opowiadał nieskładnie o zjawisku na niebie. Można sobie wyobrazić czerwone, ogniste słupy dookoła nieba, a w środku jakby ręka krwawa z sierpem. Czyżby to był widomy znak od Boga? - nie każdemu dane było to widzieć. Stróż był człowiekiem starym, wolno myślącym. Nie

wiedział, co powinien był zrobić. Był przerażony. Nie wiedział czy ma obudzić ludzi we dworze, czy to nie zniknie, czy w ogóle mu się nie śni? Na drugi dzień komentowano to zjawisko i tłumaczono jako zorzę polarną, która z rzadka, ale pojawia się pod tą szerokością geograficzną.

Cała ta historia zrobiła na mnie ogromne wrażenie, zresztą do dzisiaj uważam, że był to znak Boży - ostrzeżenie przed panowaniem komunistów przez pół wieku. Krwawa kurtyna i krwawa ręka z ich symbolem: sierpem i młotem. Prosty człowiek nie zmyśliłby sobie tego, był bardzo przejęty, poruszony.

Tymczasem wrześniowe dni były coraz straszniejsze, panika coraz większa, wieści napływające do nas przerażające. Babcia i mama postanowiły zabrać nas, dzieci i wyjechać za Bug, do rodziny ojca, do Taczanowskich w Zarzeczcu pod Uściługiem, aby połączyć się z nimi i być dalej od Niemców. Przewidywano, że rzeka Bug ich zatrzyma.

Nikt z folwarku nie chciał jechać, żeby nie rozdzielać się z rodziną. Tylko jeden fornal o nazwisku Reguła, który był bezzenny, a miał rodzinę na Wołyniu, zdecydował się pojechać z nami. On powoził końmi w bryczce, a furmanką pan Jankowski, jeden z uciekinierów. I stało się. - Wyruszyliśmy w dwa zaprzęgi dwukonne: w bryczce jechała babcia, mama, ja u ich stóp, stangret i Ela na koźle. Na furmance z rzeczami i prowiantem

siedzieli moi bracia w harcerskich mundurkach i czapkach rogatywkach oraz pan Jankowski za furmana. Każde z nas zabrało ze sobą to, co uważało za najdroższe sercu. Witek i Julek zabrali albumy ze znaczkami, które z pasją zbierali. Ela komódkę z laki, bardzo ładną z zawartością drobiazgów i bibelocików, ja śpiącą lalkę Magdę, ślicznej buzi – nasze skarby. Zmieściły się łatwo w schowku pod siedzeniem w bryczce.

Mama, niestety nie zabrała wiele z ubrania dla naszej czwórki, bo wszystko zostało w Hrubieszowie. Na furmance było trochę suchej żywności takiej, jak mąka, kasze itp. Jechało się przecież do majątku ziemskiego, więc chodziło tylko o podstawowe produkty, reszta miała być we dworze. Bug przepłynęliśmy ostatnim promem odcinając sobie odwrót. I tak zaczęła się nasza wędrówka. Teraz my staliśmy się uciekinierami.

TERESA-ZOFIA FABIJAŃSKA-ŻURAWSKA ur. 30 września 1932 r. w Zamościu, w Polsce, emerytowany starszy kustosz Muzeum-Zamku w Łańcucie, jest historykiem sztuki ze specjalnością w dziedzinie pojazdów konnych. W 1956 r. ukończyła studia Historii Sztuki na Wydziale Humanistycznym Katolickiego Uniwersytetu Lubelskiego /KUL/ otrzymując tytuł magistra. Doktoryzowała się w Warszawie w Instytucie Sztuki Polskiej Akademii Nauk, uzyskując tytuł doktora nauk

humanistycznych w 1982 r. W latach 1963-1994 pracowała w Muzeum-Zamku w Łańcucie kierując Działem Pojazdów Konnych. W latach 1984-1987 wykładała na Katolickim Uniwersytecie w Lublinie. Były to wykłady monograficzne z zakresu historii pojazdu zaprzęgowego, jego miejsca w kulturze, sztuce i obyczajach. Słuchaczami byli studenci Historii Sztuki – III-V roku studiów. Podczas wielu lat pracy w Muzeum organizowała wystawy na terenie Polski i w samym Łańcucie, prowadziła działalność popularyzatorską i dydaktyczną. Napisała i opublikowała 36 książek i artykułów związanych z dziedziną pojazdów konnych, innych publikacji ponad 100. Od 1965-1993 roku brała czynny udział w konferencjach Międzynarodowego Stowarzyszenia Muzeów Transportu /IATM/ przy ICOM/International Council of Museums/, reprezentując Polskę i Łańcut, wygłaszając referaty o polskich zbiorach muzealnych, problemach konserwatorskich dotyczących różnych eksponatów np. kolaski polskiej z XVIII w., na temat rekonstrukcji karet Jana III Sobieskiego i pracach dydaktycznych w muzeach. Wszystkie wygłoszone referaty zostały opublikowane w roczniku Stowarzyszenia IATM pt. „The Transport Museums”. Miejsca gdzie odbyły się te konferencje to: Budapeszt, Frankfurt/M, Paryż, Praga, Waszyngton. Dla pogłębienia wiedzy wyjeżdżała na stypendia do Francji, Portugalii, Włoch oraz do Belgii, Holandii, Anglii, Niemiec, Austrii, Szwajcarii, Danii, Szwecji, USA, Rosji, do Czech i na Węgry, służbowo lub prywatnie, zapoznając się tam z muzeami państwowymi i kolekcjami prywatnymi

dotyczącymi pojazdów konnych, obyczajów i etykiety dworskiej i dyplomatycznej. W Paryżu, pod patronatem Sorbony, odbywała badania i poszukiwania archiwalne, poznawała kolekcje i biblioteki, m.in. słynne zbiory „Hermesa” przy Faubourg St. Honore i Compliegne poza Paryżem. Kontynuuje kontakty profesjonalne, publikuje, opracowuje i popularyzuje.

Pięć kart pocztowych



A. i Z. Korzeniowscy, fot. arch. R. Sawickiego.

Ryszard Sawicki

„Pocztówka - Postkarte - Carte Postale - Odkrytoje Pismo - Perepisnyj Listok”, taki jest nadruk na kartce pocztowej, tuż przy znaczku. Na drugiej stronie brak jakiegokolwiek ilustracji, jeszcze tylko drobnym drukiem: „Wydawn.sal.mal.polsk. Kraków 1903, Serya 62.L.2, Naśladownictwo zastrzeżone”. Znaczek tuż nad „Wielmożna Pani”, imieniem i nazwiskiem i nazwą

miejsowości, bez numeru domu czy nazwy ulicy, te nie były potrzebne, adresatka była dobrze znana listonoszowi w niewielkim Buczaczu nad Strypą.

Znaczek jest uszkodzony, lecz dobrze widać profil starego człowieka z bokobrodami. To Franciscus Josephus I jak informuje napis tuż pod brodą cesarza. „Kaiserliche-Koenigliche Oesterraichische Post”, 5... groszy czy..., zastanawiam się... nie wiem. I pieczętka, okrągła: Lwów... reszta zamazana.

Na pocztówce tylko kilka słów: *Serdeczne pozdrowienia i ucałowania wszystkim. Wczoraj byliśmy na pogrzebie wuja kapitana, a potem u Kukackich. Ciocia Binia także. Dziś jedzie z wujem H. do Radziechowa na jeden dzień. Lwów, 17.II.1908. Wszystko ładnym, równym pismem.*

Każde słowo z tej pocztówki odczytywałem nie raz, to jedyne słowa wuja matki, Władysława, które zachowały się w korespondencji. A Ciocia Binia...

Była jedną z trzech córek Tadeusza Nałęcz-Korzeniowskiego i Albiny Kukackiej. Dwie jej siostry to Maria, moja prababka i Leopoldyna (Lunia). Tadeusz i Albina mieli też dwóch synów, Henryka i Stanisława.

Na pocztówce adresowanej do Stefanii i Władysława Iżewskich

(mojej ciotki i wuja), podpisały się obydwie siostry: Albina i Leopoldyna. Była to pocztówka z życzeniami na święta Wielkanocne w 1937 roku. Wysłana została z Barysza, o czym świadczy stempel na dwóch znaczkach pocztowych, jednym zielonym za 10 groszy przedstawiającym Morskie Oko w Tatrach, drugim za 5 groszy, przedstawiającym Pieskową Skałę. *Szczęśliwych, miłych i wesołych świąt, szczerze oddane...* pisała ciocia Lunia. Na odwrocie są ilustracje plebanii i kościoła (rok budowy: 1602, dopisała ciotka piórem), na drugiej szkoła powszechna z 1909 roku (też data naniesiona ręcznie).

Ciotki wymienione są jeszcze na innej karcie pocztowej, która ocalała. W styczniu 1947 roku Zdobysław Korzeniowski pisał do mego dziadka, Stefana Czekanowskiego: *Dziś otrzymałem list z 23, dziękuję za wiadomości. Nie wiem jak teraz Ciocia Lunia poradzi sobie bez pomocy Cioci Bini.*



Siostry Korzeniowskie, Albina i Leopoldyna, fot. arch. R. Sawickiego.

W 1947 roku siostry Albina i Leopoldyna Korzeniowskie już nie żyły. Nie żyła też moja prababka Maria. Ale o śmierci Leopoldyny jeszcze nikt w rodzinie nie wiedział. Została w swoim Baryszu, wśród obcych ludzi. Nie chciała wyjeżdżać na obcą ziemię, do Bytomia, gdzie osiedli moi dziadkowie, czy do Wrocławia, gdzie osiedli moi rodzice. Została w swoim dworku, na utrzymaniu jednej ze służących. Sama nie potrafiła się utrzymać ani zarabiać na życie. Służącą aresztowano wkrótce, a ciocia Lunia, kaleka od wczesnych lat swego życia, zmarła, przypuszczalnie z głodu.

Na kartce z 1947 roku doktor Zdobysław Korzeniowski pisał też o tym jak jego rodzina radzi sobie w Warszawie. *U nas wszystko w porządku, trzymamy się zdrowo, mimo ciężkiej podróży jaką mieliśmy. Ja jeszcze nie pracuję, podobnie jak Ewa, chociaż już trzeba o tym myśleć. Na razie zima odstrasza, a ściśle mówiąc dojazdy do Warszawy o ile tam się uda coś znaleźć. Irka i Ewa chodzą do przedszkola, warunki mieszkaniowe mamy na razie marne. Czy znacie adresy innych członków rodziny?*

Po wysiedleniu z okolic Buczacza i Barysza wszyscy próbowali się odnaleźć. Wuj Zdobysław pisał do swojej ciotki, Luni, ale tak on jak i inni krewni nie dostawali odpowiedzi. Zza nowej wschodniej granicy odpowiedzi rzadko dochodziły.

Było to szczególne zrządzenie losu, bo ciocia Lunia (była babką cioteczną mojej matki, ale matka nazywała ją ciocią, więc i ja tak nauczyłem się ją nazywać) prowadziła przez kilkanaście lat agencję pocztową w swoim domu. Nie mogła pracować poza domem ze względu na to, że z trudem chodziła (jedną nogę miała znacznie krótszą, po wypadku w dzieciństwie). Praca ta nie dawała prawa do emerytury w cesarstwie austriackim, lecz ciocia Lunia napisała do cesarza i kancelaria dworska przyznała jej jakąś kwotę. Rząd polski uznał to prawo po pierwszej wojnie światowej. W czasie okupacji radzieckiej emerytura przychodziła nadal, ale była to kwota zbyt mała by się utrzymać. Ciocia Lunia napisała więc do Stalina (tak, bezpośrednio do niego, bo, jak

uważała, wypadało jej pisać wprost do głowy państwa) i ku zdziwieniu wszystkich członków rodziny otrzymała odpowiedź... odmowną, za to z pouczeniem o zmianach terytorialnych (nie znam dokładnie treści tego pisma, lecz domyślam się, że był w liście ciotki jakiś szczegół dotyczący jej pracy w powiecie Buczackim). Podczas kolejnej okupacji ciotka pisała też do Hitlera (bezpośrednio, a jakże), lecz i na ten jej list przyszła odmowna odpowiedź... ale przyszła.

Dzisiaj nie mogę sięgnąć do tych dokumentów. Zachowały się tylko karty pocztowe, z których skopiowałem parę zdań. O swojej prababce, Marii, pamiętam tylko to co mi opowiedziano, nie mogę znaleźć jej imienia w żadnym liście. Była drobną dziewczyną o ciemnych włosach i regularnych rysach twarzy, którą szpecił zez. Wyszła za mąż w wieku lat piętnastu za dużo starszego Jana. Pradziadkowie musieli uzyskać specjalne pozwolenie na ślub. Prowadziła dom, miała dzieci. Mój wuj, Zbyszek, wspominał ją jako osobę kłótniwą i lubiącą narzekać. Umarła wcześniej z powodu upadku z drabiny, na którą weszła by wyręczyć w czymś służącą. Zachowała się duża rodzinna fotografia, na której prababka Maria siedzi obok pradziadka: on otyły, wysoki, ona mała, drobna, w okularach z grubymi szklami. We wszystkich rodzinnych opowieściach nie ona królowała lecz jej dwie siostry, które nie założyły własnych rodzin (ciotka Binia wyszła wprawdzie za mąż za niejakiego Łopatyńskiego, ale nawet wuj Zbyszek, kronikarz rodziny, zanotował tylko jego herb, nie

podał imienia; małżeństwo to trwało kilka miesięcy). Ciotki matki prowadziły dom otwarty, w którym dużo się działo, dużo więc można było opowiadać. Przyjeżdżali do nich krewni i wielu znajomych, często z miejscowości odległych o więcej niż sto kilometrów. Ciocia Lunia i ciocia Binia miały dobrych znajomych nawet w okolicach Soliny.

Z tymi solińskimi znajomymi łączy się opowieść wuja Zbyszka, który bywał u nich podczas szkolnych wakacji, a potem był raz jeszcze, tuż przed zalaniem terenów wodą gromadzoną już przez zaporę.

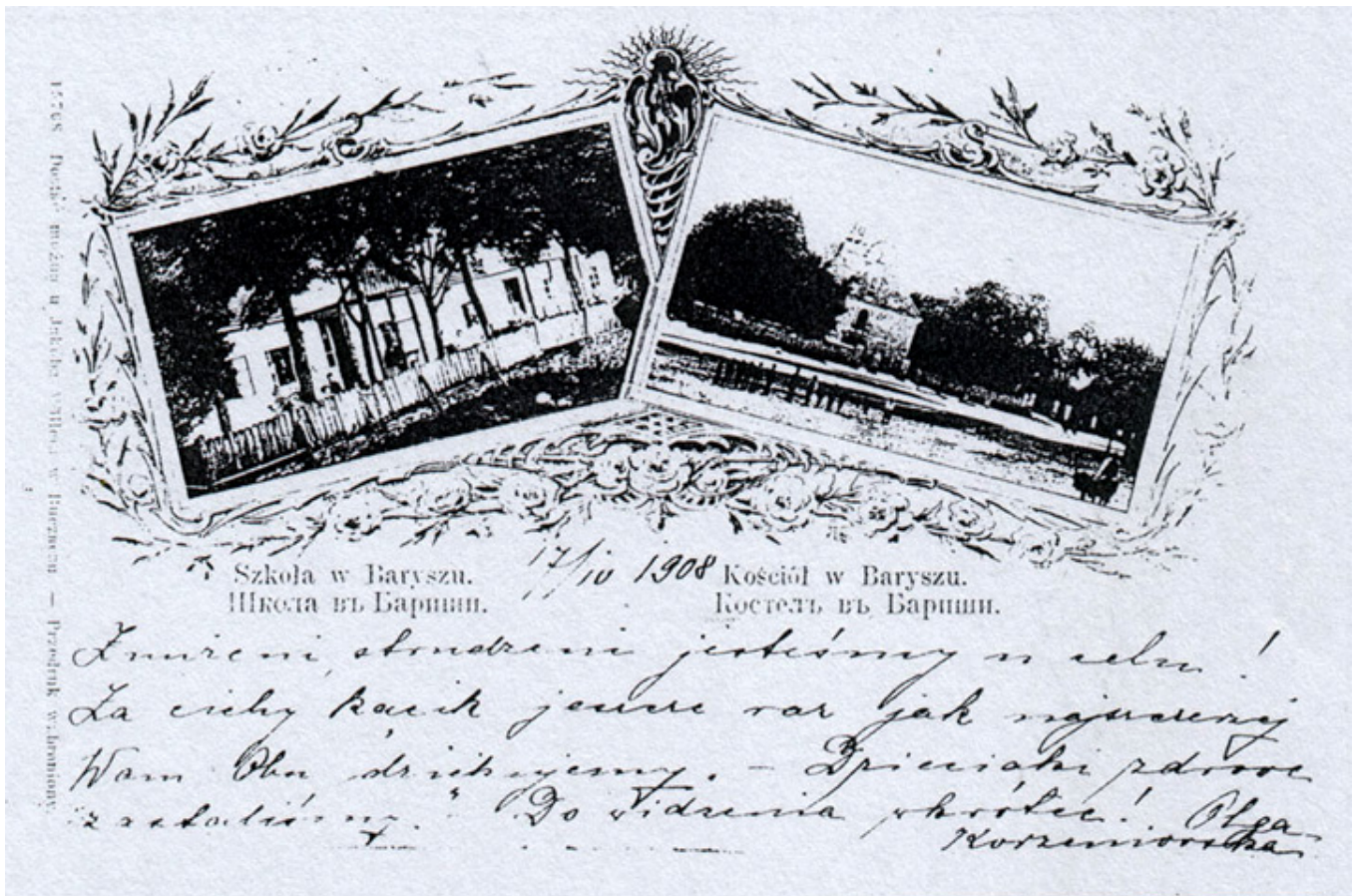
Wujo spędził we wsi Solina, leżącej u ujścia Solinki do Sanu kilka letnich sezonów. Była to wówczas wieś licząca około tysiąca chat, zamieszkała wyłącznie przez rodziny Terleckich, Podkaliskich i Orłowskich. Mówili oni po rusku, posiadali nadania królewskie, należeli do Związku Szlachty Zagrodowej, który powstał na tamtych terenach w latach trzydziestych. Była to wieś bogata, bo mieszkańcy mieli krewnych w Stanach Zjednoczonych i wyjeżdżali tam do pracy. Wieś ta była własnością rodziny von Kronenfeld od połowy dziewiętnastego wieku. Kronenfeld, który był znajomym Korzeniowskich, prowadził gospodarstwo wzorowo, lecz widocznie nie bardzo mu się to opłacało, bo sprzedał posiadłość niejakiemu Jankowskiemu zostawiając tylko resztówkę jednej ze swoich córek, Oldze. Posiadłość Olgi, w której bywał mój wuj, znajdowała się na

pięknie położonym wzgórzem nad zakolem Sanu, w pobliżu małej cerkwi. U stóp dworu znajdował się ogród i sad. Naprzeciw wznosiła się góra Jawor. Wiejskie chaty ciągnęły się malowniczo wzdłuż Sanu i Solinki.

Pani Olga była starą panną. W prowadzeniu gospodarstwa pomagała jej sprowadzona z Niemiec Frau Luisa. Fraeulein von Kronenfeld, jak ją wszyscy nazywali, prowadziła, podobnie jak ciocia Lunia, agencję pocztową, która obsługiwała kilka miejscowości w okolicy. Wysoką, prosto trzymającą się kobietę widywano często na polnych drogach jak szła wspierając się na Alpenstocku niosąc dużą białą torbę. Torba była pełna leków, które Pani Olga rozdawała za darmo. Co drugi rok wyjeżdżała do kogoś ze swego rodzeństwa. Jedna z sióstr była zakonnice w Australii, dwie inne w Indiach. Czwarta siostra, zamężna, mieszkała w Stanach Zjednoczonych, inna wyszła za mąż za właściciela ogromnych plantacji w Kongo. O tej ostatniej opowiadano, że do najbliższej stacji kolejowej podróżowała w lektyce przez wiele dni. Jeszcze inna siostra wyszła za mąż za Waldecka i mieszkała w Niemczech. Pani Olga była częstym gościem rodziców mego wuja Zbyszka we Lwowie, z którymi była złączona zresztą dalekim pokrewieństwem.



Barysz, dom Aliny i Leopoldyny Korzeniowskich, fot. arch. R. Sawickiego.



Dom pani Olgi, położony na odludziu, nie był popularnym miejscem spotkań. Wuj był jednym z nielicznych gości. Był to rejon żyjący własnym życiem, gdzie dojeżdżało się z ustianowskiej stacji furmanką. Nawet pop przyjeżdżał do miejscowej cerkwi tylko raz na miesiąc.

W Sanie płynęła czysta woda. Rzeka była bogata w ryby, które łowiono nocą, wypływając na dłubankach, przy świetle kaganków z węglem drzewnym zawieszonych na długich kijach. Ryby nabijano na ościenie. Tak spędzał noce i mój wuj, zapraszany na połowy przez rówieśników. W dzień natomiast chodził do lasu, bo w lasach solińskich było mnóstwo grzybów i jagód.

Wuj opowiadał też, że bywał w sąsiednim dworze w Zabrodziu. Gospodarzył tam Czech, który zelektryfikował swoją posiadłość czerpiąc energię z własnej elektrowni wodnej. Uwielbiał muzykę i nawet wszystkie drzewa w ogrodzie kazał strzyc na kształt instrumentów muzycznych. Inne dwory były w Polańczyku, Myczkowie i Bóbrce. Wszystkie te miejscowości zalane zostały przez spiętrzone wody zapory.

W czasie jej budowy nie pamiętano już lokalnej historii, bo nie było tam już nikogo z dawnych mieszkańców. Wuj został zaproszony jako ekspert przez inżyniera Józefa Krzeptowskiego do oceny jakichś maszyn i mógł wtedy rozglądać się jeszcze raz

po okolicy swego dzieciństwa. Inżynier Krzeptowski asystował przy ekshumacji zwłok przeprowadzanej na lokalnym cmentarzu i wspomniał o grobie Niemki. Był to grób Frau Luisy, gospodyni pani Olgi.

Domy rodzinne w Buczaczu i Baryszu padły ofiarą innego potopu, potopu wojennego.

Zachowały się tylko zdjęcia tych domów, na ich podstawie zrobiłem rysunki, by cieszyły oko w smutne dni. Lubię na nie patrzeć, wspominać. Wywoływać z pamięci, zbiorowej pamięci pokoleń, to co w niej tylko istnieje, nigdzie indziej. Wdzięczny jestem wtedy wujowi, że spisał to co sam pamiętał, a także matce i ciotkom, że wracały pamięcią do tamtych okolic, których ja nigdy nie widziałem, że przekazały mi ich obrazy. Kiedyś nie lubiłem słuchać tych opowieści, wydawały mi się nudne, poza tym powtarzały się, te same, raz po raz. Ale przecież tak przetrwały Wtedy, nim zostały spisane, powtarzam dziś sobie.

Matka często wracała do „swojego” domu... zwłaszcza przy okazji Bożego Narodzenia. Do swojego, chociaż tamten dom był tylko domem jej dzieciństwa, dorosłe życie spędziła przecież nad Odrą, nie nad Strypą. Jednak tamten dom jest dla niej bardziej „swój” niż ten, w którym przeżyła ponad 50 lat. „Do tych pagórków leśnych”... nie można było się zbyt usilnie przyznawać tak długo, więc na stare lata przyznawać się chyba należy tym

bardziej. Zaczynam rozumieć rozterki rodziców coraz lepiej, w miarę jak sam coraz mniej wiem czy mój dom to raczej ten nad Pacyfikiem, czy ten nad Odrą... bo przecież nie mogę zbyt usilnie upierać się, że jednak ten nad Strypą, skoro nigdy go nie widziałem.

Ale i tamten dom, który istnieje dla mnie tylko na rysunku, jest jakoś „mój”... nie wiem dokładnie jak, ale przecież nie czułbym się w nim całkiem obco... gdyby wróciło to, co nie wróci, jak tłumaczył cichym, melancholijnym głosem bard moich lat dojrzewania, Bułat Okudźawa.

„Nie wróci i szat rozdzierać nie warto”..., ale przecież warto pamiętać.



Barysz, dom Aliny i Leopoldyny Korzeniowskich, fot. arch. R. Sawickiego.

Na pamiątkę bywania
w Baryszu 20. VII. 1933.

Barysz, dom Aliny i Leopoldyny Korzeniowskich, podpis na odwrocie fotografii, fot. arch. R. Sawickiego.

Tamten dom, w którym urodziła się matka, na wysokiej skarpie,

w olbrzymim sadzie. O ścianach ze starych, wielkich pni. Z małym balkonem biegnącym wzdłuż frontowej ściany, na wysokości krawędzi drzwi wejściowych. Okno pokoju matki było po prawej stronie domu, a po lewej patrząc na fotografię.

Pamiętać też warto, mówię sobie, tak pamiętać, by można było narysować z pamięci, jeszcze ładniejszy dom ciotek matki, Korzeniowskich. Był on nie w Buczaczu, lecz w położonym 15 kilometrów od Buczacza Baryszu, miasteczku liczącym przed wojną, czyli przed dwudziestowiecznym potopem, 5 tysięcy mieszkańców, w tym 3000 Polaków i 2000 Ukraińców. Polacy, którzy tam mieszkali, pochodzili przeważnie z Mazowsza. Wieś była własnością książąt Świdrygiełłów, których dwór stał na uboczu, dobrze wrośnięty w ziemię. Zabudowania miasteczka biegły po dwóch ramionach kąta prostego, z których jedno było polskie, a drugie ukraińskie. W miejscu przecięcia się ramion był duży plac, przy którym stał kościół, cerkiew, szkoła i karczmy żydowskie, wszystko w najlepszej zgodzie. Szkoła i kościół widnieją na pocztówce z 1908 roku podpisanej przez Olgę Duńczewską, żonę Henryka Korzeniowskiego, który był sędzią w Radziechowie. W tej szkole uczył mój pradziad, a także dziadek Jan Czekanowski.

Dwór Nałęcz-Korzeniowskich był, zgodnie z tym co o nim mówił wuj Zbyszek, bardziej okazały od starego dworu Świdrygiełłów. To właśnie w tym dworze rezydowały obie ciotki matki, Lunia i

Binia. Miał dwa wejścia, jedno od ogrodu, z szerokimi schodami wiodącymi na mały taras przy drzwiach z kolumnami, drugie od strony bardziej „urzędowej”, do którego podjeżdżały pojazdy konne lub motorowe (tych pierwszych było więcej za życia ciotek) z gośćmi lub interesantami odwiedzającymi agencję pocztową. Przed wojnami światowymi wydana została pocztówka, na której uwieczniono tę część dworu ze stojącym na podjeździe powozem. Bacznie wpatrując się w spłowiały obraz przez szkło powiększające można zauważyć kilka postaci. Ktoś schodzi po schodach z boku domu, jest ubrany w mundur austriacki, ktoś inny idzie wzdłuż ściany. Jeszcze inną postać można dostrzec w cieniu pod drzewem. Na schodach od ogrodu stoi dziewczynka w kapeluszu z kotem i książką w ręce. Nie wiem kto to jest.

W czasie pierwszej wojny ciotki opuściły dwór, wyjechały do Austrii. Kiedy wróciły po dwudziestym roku, zastały go w strasznym stanie. Został obrabowany i jego wnętrza już nigdy nie wyglądały tak jak przed wojną. Budynki gospodarskie spłonęły. Siostry Korzeniowskie wyremontowały niektóre pomieszczenia, odzyskały trochę mebli. Jednak całość pozostawała w stanie tak zwanej „trwałej ruiny”. Co można było zrobić bowiem w pokoju, w którym stały konie czerwonej brygady? Nadawał się do całkowitego remontu, a osoby, które podróżowały nawet na skromne zakupy do Lwowa trzecią klasą, nie mogły sobie pozwolić na wielkie remonty.

Wujo wspominał, że wychodził często na dworzec na spotkanie obu pań. Śmieszyły go zwłaszcza ich walizki z wikliny, zamykane na stalowe kłódki. Obszyte były konopnym płótnem ozdobionym czerwonymi wstążkami. Na surowym płótnie widniały monogramy z wielkimi pięciopalkowymi koronami. Ojciec wuja miał z nimi dużo kłopotu, bo ciocia Lunia uważała za stosowne targować się w lwowskich sklepach. Zdumionych sprzedawców trzeba było uspokajać rozmaitymi sygnałami, że wszystko w porządku, że dostaną całą należną im sumę.

Chociaż ciotki miały rozległe stosunki towarzyskie w okolicy, nie podróżowały wiele. Nie znały świata, w którym swobodnie poruszał się ich krewny Józef Conrad. Świat, w którym się zagubił był dla nich obcy. Już Kongo jednej z sióstr Kronenfeld musiało im się wydawać miejscem mało realnym, co dopiero conradowskie „Jądro Ciemności”.

Obcy, brutalny świat zapukał do ich drzwi kolbami karabinów Czerwonej Armii po raz drugi, kiedy były obecne w domu. Tym razem nie zdążyły, czy może nie miały siły by uciekać. Zginęły w gruzach tego, co uważały za własne i czego nie opuściły tak jak to zrobiły podczas poprzedniej wojny.

Tadeusz Jaworski. Filmowa wędrówka przez życie.



Joanna Sokołowska-Gwizdka

Tadeusza Jaworskiego poznałam, kiedy opracowywałam materiał o jego żonie, Tamarze Jaworskiej dla „Listu oceanicznego” – dodatku kulturalnego „Gazety” w Toronto, w 2007 r. Pomagał mi wtedy usystematyzować wiedzę na temat wystaw słynnej artystki tworzącej gobeliny. Ponownie zgłosiłam się do niego po śmierci Tamary Jaworskiej w 2015 roku, ponieważ chciałam pokazać jej twórczość w magazynie internetowym Culture Avenue. Tadeusz Jaworski pomógł mi uzupełnić wiadomości. Pisał mi też, jak bardzo brakuje mu żony i jak za nią tęskni. Zobaczyłam wtedy w nim nie tylko artystę czy słynnego reżysera, ale głębokiego i wrażliwego człowieka, który został sam i któremu samotność bardzo doskwiera. Staralam się ciepło mu odpisywać i wspierać. Widziałam, że potrzebuje rozmowy. Nawiązał się wtedy między nami serdeczny kontakt.

Gdy ukazał się na Culture Avenue artykuł o Tamarze Jaworskiej „W magicznym świecie gobelinów”, zapytałam, czy może i on chciałby mi udzielić wywiadu i opowiedzieć o swoich dokonaniach. Zgodził się, wyglądało nawet, że bardzo się ucieszył. Powiedział, że z reguły nie rozmawia z dziennikarzami, bo dziennikarze nie słuchają swojego rozmówcy i piszą, co sami uważają za stosowne, popełniając przy tym błędy. Ale widzi, że ja jestem skrupulatna, biorę sobie do serca wszystkie uwagi i

dobrze mu się ze mną współpracowało.

Długo przygotowywałam się do wywiadu, czytałam wszystko, co było dla mnie dostępne. Ale przede wszystkim obejrzałam jego filmy dokumentalne z różnych lat i spektakle Teatru Telewizji z lat 60., które miało w swoim archiwum Muzeum Kinematografii w Łodzi. Byłam wtedy w Łodzi, opiekowałam się chorą mamą i nie było dla mnie proste, żeby znaleźć czas na wielogodzinną projekcję. Mobilizowała mnie wtedy Kika Misztela, archiwistka i promotorka Tadeusza Jaworskiego, dużo mi o nim opowiadała i pomagała nawiązać kontakty.

Przygotowałam dwadzieścia siedem przekrojowych pytań, dotyczących zarówno poszczególnych filmów, stanowiących kolejne etapy w twórczości Tadeusza Jaworskiego, jak i różnych okresów w jego życiu. Pytałam o podsumowanie życiowej drogi i wydarzeń z perspektywy lat, o kondycję człowieka XX wieku, jego zachowania i etykę, o ludzkie wybory wobec zagrożenia własnego istnienia i utraty człowieczeństwa, o różnice pomiędzy światem „cywilizowanym” a „prymitywnym”, na podstawie doświadczeń związanych z pracą filmową w Afryce i Azji w latach 50. i 60. Pytałam też o kontakty ze znanymi osobami, ludźmi kultury, sztuki, polityki, koronowanymi głowami czy wodzami plemion afrykańskich, a także tymi zupełnie nieznanymi, a niezwykłymi, przywracającymi wiarę w człowieka. Tadeusz Jaworski w swoim długim, aktywnym i bogatym życiu, poznał ich

przecież bardzo wielu.

Zdawałam sobie sprawę, że odpowiadanie nie będzie proste, wymaga selekcji i syntezy wydarzeń z własnego życia. Ale, że reżyser z tak dużym zaangażowaniem i skrupulatnością podejmie wyzwanie oraz, że pisanie odpowiedzi będzie dla niego motywacją, żeby walczyć o każdy dzień swojego życia, tego się nie spodziewałam.

Reżyser przez wiele lat prowadził dziennik, notował to, co go zafrapowało, swoje przemyślenia, fakty, miejsca, spotkania. Kiedy był w podróży pisał długie listy do żony Tamary. Jak widzę, po otrzymanym potem materiale notatki pisane na bieżąco, były bardzo pomocne, aby usystematyzować wspomnienia. Były punktem wyjścia do życiowych rozważań. Tadeusz Jaworski uprzedzał mnie, że pisze „barokowo”, że rozbudowuje dygresje od dygresji, daje obszerne komentarze, barwne opisy, mnóstwo detali, w związku z tym pisanie odpowiedzi będzie długie i żmudne. Zdawał mi też na bieżąco relację z tego co robi, z kłopotów z komputerem i ze zdrowiem. I tak to trwało, trwało, trwało....

Droga Pani Joanno - pisał do mnie w jednym z e-maili - proszę się nie gniewać, że do tej pory nie odpowiedziałem na Pani *interview*. Codziennie od czasu, kiedy otrzymałem Pani

pytania, siedzę po kilka godzin dziennie i próbuję odpowiadać. Nie będą to odpowiedzi na zasadzie „ping ponga”, ale jak uprzedzałem, jestem „barokowiec”, więc na dzień dzisiejszy napisałem 140 stron komputerowych. Piszę o rzeczach sprzed pół wieku, dlatego korzystam z moich notatek, jeśli chodzi o miejsca czy ludzi, resztę muszę sobie na tej podstawie przypomnieć. Używam starą nomenklaturę miast i krajów, będzie więc potrzeba je zaktualizować. np. Złote Wybrzeże to Ghana itd.

Droga Pani Joasiu - pisał w innym momencie - już dochodzę do spotkań z ludźmi, takimi jak Bertold Brecht. Będąc przez 65 lat reżyserem, mając za sobą dość pokaźną ilość filmów z różnych gatunków, czyli z racji mojej pracy filmowej, miałem do czynienia z masą ludzi wielkiego kalibru, będących znanymi w różnych dziedzinach. Większość z nich jest już na łonie Abrahama: mój przyjaciel prof. Leszek Kołakowski, Ludwig Alfred Windisch-Graetz, księżę austriacki pochodzący z rodziny Habsburgów, Olof Palme, Herbert Marcuse, Saul K. Padover, Tadzio Przyppkowski z Jędrzejowa, potomek polskich arian i ostatni polski Sarmata czy mój przyjaciel Marian Brandys. Są też Afrykanie tacy jak król Busoga Uganda Nadiope I, Léopold Sédar Senghor, poeta i prezydent Senegal - piękna postać, Jomo Kenyatta z Kenii, Julius Nyerere z Tanzanii, Ahmadu Bello, Sardauna of

Sokoto, premier Nigerii, nie mówiąc już o Staszku Sapiesze i jego wspaniałej żonie Didi Sapieha. Mam też w zanadru kilka typowo afrykańskich „przygód”, jak Masajowie czy Fuzzy Wuzzy.

Wśród ciekawych osób ubiegłego stulecia – pisał dalej – jest też student Bernard-Henri Lévy (późniejszy wielki francuski filozof, przyp. red.) i młodzi filozofowie z Paryża, którzy zorganizowali rewoltę w 1968 r., jest jeden z największych filozofów francuskich prof. Raymond Aron. Mam ich wielu na wokandzie. Jutro właśnie się za nich zabieram. Spotkania i rozmowy z nimi są unikalne, ponieważ nigdzie i nigdy nie były publikowane. A te postacie są już historią. Będzie tego, sądzę, ok. 200 stron. Zostawiam Pani decyzję, kogo Pani wybierze. Zdaję sobie sprawę z tego, że mój język polski jest archaiczny i wymaga poprawek. Ale w końcu to nie ja jestem pisarzem, tylko Pani, a ja nigdy takich ambicji nie miałem. Łączę serdeczności, Tadeusz.



Tadeusz Jaworski w Łodzi w 2012 r., fot. arch. Tadeusza Jaworskiego.

Wielokrotnie reżyser żalił się na problemy z komputerem, że myszka mu nie działa, że to co napisze gdzieś znika, że komputer się zawiesza. Bardzo to go frustrowało, tak jakby bał się, że zawodna technika kradnie jego cenny czas i wysiłek:

Z komputerem mam dwa światy. Gdybym miał 6 lat to pisałbym na tej maszynie bardzo dobrze. Ale mam więcej. Nacisnę jakiś klawisz i nagle coś się zmienia, font, wielkość czcionki...

Jestem zaawansowany w odpowiedziach na Pani pytania, niemniej jednak jest jeszcze dużo do zrobienia. Ach ten

barok!

Mijały tygodnie, a ja dostawałam kolejne informacje na temat powstającego tekstu:

Droga Pani Joanno, próbuję pisać mój elaborat biograficzny. Ale nie umiem pisać „tak” albo „nie”.

Przypomniałem coś sobie. Zrobiłem kiedyś film „Zegarmistrz” na Międzynarodowe Targi w Montrealu bodajże w 1967 r. Temat - największe problemy jakie stoją przed światem. Warunek - film ma trwać 54 sekundy, ani mniej ani więcej. Na kilka tysięcy zgłoszeń z całego świata mój „Zegarmistrz” znalazł się w pierwszej setce wyróżnionych. Było to w czasie, kiedy bomba atomowa była straszakiem całego świata. Więc i ja na to się złapałem.

Zaułek w mieście, *dead end* z każdej strony, bez wyjścia. Zamknięty sklep zegarmistrza. Drzwi zabite deskami. Wewnątrz - na samych zbliżeniach - siedzi zegarmistrz mający przed sobą na stole wśród zegarowych rupieci dużą „cebule”, którą próbuje naprawić. Znakomita twarz aktora Tadeusza Byrskiego, luminarza polskiego teatru i radia. Ręka dokręca mini śrubkę i zegar cebula zaczyna „tykać”. Następne ujęcia to wybuch bomby atomowej i grzyb.

Jednak to Czesi zdobyli pierwszą nagrodę. Trzy akwaria z rybami - duże ryby zjadają średnie, a średnie małe!!! Świetny, symboliczny pomysł. I nie na temat bomby atomowej. Czesi nie poszli na łatwiznę.

W innej korespondencji uczulał mnie, na temat błędów, które pojawiały się w jego biografii:

Wielokrotnie zauważyłem mnóstwo błędów w moim życiorysie publikowanym tu i ówdzie, łącznie z publikacją Muzeum Kinematografii. To tak jak z moim przyjacielem Christopherem Plummerem. Jak pierwszy raz go spotkałem, był starszy ode mnie o 2 lata. Kiedy kręciłem „Proces Jezusa”, miał tyle samo lat, co ja, a więc 1926 rocznik. Od tego czasu co roku jest młodszy w informacjach biograficznych.

Postaram się napisać całość w możliwie krótkim czasie, ale psiakość ten „barok”. Oczywiście, z tego, co napiszę, będzie Pani mogła wykroić to, co uzna za właściwe.

Abrazo!

Łączę serdeczności, Tadeusz.



Tadeusz i Tamara Jaworscy w Toronto, fot. arch. Tadeusza Jaworskiego.

Reżyser wtajemniczał mnie też w swoje problemy ze zdrowiem, żalił się na różnego rodzaju badania i dyskomfort z tym związany. Nie chciałam więc go męczyć ponaglaniem i dopominaniem się odpowiedzi. Proponowałam, żeby mi wysłał to co ma, ale on twierdził, że wciąż uzupełnia poprzednie części. Kika Misztela mnie prosiła, żebym go mobilizowała i podkreślała jak bardzo liczę na jego wspomnienia, bo to mu daje motywację do walki z chorobą i poczucie, że jego życie nie zniknie bez śladu.

Gdy odszedł w lipcu 2017 roku, zrobiło mi się smutno. Zabrakło mi tej korespondencji, poczułam swego rodzaju pustkę, nie

mogłam sobie znaleźć miejsca. Wtedy otrzymałam materiał, nad którym dla mnie tak długo pracował – jeden plik komputerowy zatytułowany „Wywiad Joanna Sokołowska” – 760 stron i drugi p.t. „Reszta wstawek dla Joanny Sokołowskiej – portrety i inne” – 56 stron uzupełnień. Byłam w szoku. Zaczęłam czytać i nie mogłam się oderwać. Tadeusz Jaworski pisał filmowo, raz „kamera” się oddalała, raz zbliżała. Tyle szczegółów obyczajowych, tyle ciekawych osób opisanych, tyle refleksji związanych z jego filmami. Poczułam, jakbym dostała niebывały prezent. W środku w tekście są do mnie listy – pani Joanno, jeśli miałaby pani wątpliwości, a mnie już nie będzie to proszę zajrzeć do artykułu (i tu pełna bibliografia), albo: proszę sprawdzić tę nazwę, ja ją pamiętam w formie sprzed 50 lat itd.

Wiem, że opracowanie takiej ilości materiału wymaga ogromnej pracy, selekcji faktów, wyczyszczenia powtórzeń, poprawienia dziesiątek literówek, często napisania tekstu od nowa. Zdaję sobie sprawę z tego, że 90-letni reżyser był ciężko chory, trudno było mu się skupić, mógł też mieć niesprawne palce i nie trafiać w klawisze. Ale to nic. Ważne, żeby zachować intencje autora, fakty z jego życia i unikalny styl jego języka. Czuję się wyróżniona, że Tadeusz Jaworski mi zaufał i dołączam do Kiki Miszteli, która tak dzielnie walczy od lat o przywrócenie pamięci obydwójga Jaworskich.

O Tamarze i Tadeuszu Jaworskich na Culture Avenue:

<http://www.cultureave.com/w-magicznym-swiecie-gobelinow/>

<http://www.cultureave.com/dostrzec-piekno-czlowieka--tadeusz-jaworski-1926-2017/>

<http://www.cultureave.com/o-filmie-wieczny-tulacz--grzegorza-krolikiewicza/>

Syberyjskim szlakiem Dargiewiczów. Część II.



Ferdynand Ruszczyc, Ziemia.

Romuald Mieczkowski

Życie w posiołku

- Żyliśmy pokutniczym życiem, tworząc jakby wyklęte pokolenie. Nikt się nie cieszył, nie śpiewaliśmy pieśni swoich, z rzadka ktoś zażartował, z rzadka gościł uśmiech na twarzach naszych. W

posiołku nie było wesel, nie rodziły się dzieci, bo ludzie nie chcieli przenosić swojego nieszczęścia na potomstwo. Kwintesencją naszego istnienia było przetrwanie. Przetrwanie razem, jeśli Bóg da, bez strat, jako rodzina - powraca do wspomnień Tadeusz Dargiewicz. - Najgorzej to było na święta, człowiek zupełnie wtedy miękł, kobiety, a i mężczyźni też, wszyscy ocierali łzy. Siostra przesyłała na Boże Narodzenie opłatek. Przed oczy powracały rodzinne, nierealne teraz widoki, wizerunki krewnych. Ale jakoś trzeba było żyć - poza pracą i umęczeniem siebie wspomnieniami. Jednak o rozrywkach nikt nie myślał, a do jedyne go klubu w okolicy raczej nikt z zesłańców nie chodził. Zbierali się tam Rosjanie, niektórzy tu już urodzeni, i czuli się ze sobą zupełnie dobrze. Parę razy, jako ludzie młodzi, z ciekawości poszliśmy do klubu. Zapamiętały się mi czastuszki, które składali śpiewający o nas...

Spiecpieresieleńcy narzekali, że nie ma wśród nich księdza. Prosilili nawet naczelstwo, żeby im księdza z okolicy przywieść, ale przedstawiciele władzy odpowiadali, że niejednego nie zostało... Po latach potem Tadeuszowi opowiadał ksiądz-zesłaniec spod Olsztyna, jak starali się duchowni ukryć swoje powołanie. Udawali robotników, podobno specjalnie rzucali niektórzy przekleństwami, by nie wyróżniać się spośród więźniów kryminalnych, z którymi też nierzadko przebywało się razem w niektórych posielenijach czy łagrach. Zresztą w obcowaniu z władzą w „dobrym tonie” były przekleństwa...

Z braku księdza, na początku wyręczała jedna starsza pani, która odprawiała nabożeństwa majowe i inne, ale po jej śmierci nie było następców. Matka Tadeusza zabrała ze sobą książkę do nabożeństwa, więc cała rodzina miała możliwość modlenia się. Interesował się tym pewien Rosjanin, którego przodków zesłano tu jeszcze za cara, prosił przetłumaczyć niektóre modlitwy na rosyjski.

Oczywiście, władza chciała czymś innym zastąpić wiarę. Ale sowieckie święta były obce, a i w czasie ich trwania zamiast wesołości była gorycz poniewierki. Parę razy przyjeżdżało kino, takie z przenośnego generatora. Zapamiętał się film pod tytułem „Titanick”, trudno sobie wyobrazić, ale do takiej głuszy²⁷ dotarł również bestseller z tamtych czasów „Tarzan”. Były próby założenia jakiegoś kółka, teatru amatorskiego, ale nic z tego nie wyszło.

Jeśli chodzi o „rozrywki”, to w tych stronach można było jeszcze liczyć na książkę z biblioteki, ale oczywiście, po rosyjsku. O choć niektórzy szybko nauczyli się czytać w tym języku, to nawet lektury swego oprawcy były obce. Tak samo było z nauką, całe szczęście, że w rodzinie Dargiewiczów nie było kogoś w takim wieku, żeby obowiązkowo musiał pobierać nauki w sowieckiej szkole na Syberii. A te strony były dla ludzi silnych, i biada temu, kto zachorował. Z poważniejszymi przypadkami trzeba było chorego dostarczyć do miasteczka Podgornoje. Tam lekarz,

obsługujący spiecpieresielników, miał dużą butlę jakiegoś żółtego płynu, dawał pacjentowi pół szklaneczki tego płynu niezależnie od choroby – i już miało być dobrze! Hospitalizację stosowano przy bardzo rzadkich przypadkach. Dla chorowitych trudno było o jakieś ulgi, przede wszystkim o łatwiejszą pracę. Przez cały czas zabiegał o nią Adolf Dargiewicz, autor zdjęć syberyjskich, który słabego był zdrowia i często chorował. Ulgi, jakie udało się mu załatwić, polegały na tym, że zamiast wyrębu lasu, obsługiwał wagonik, który ciągnął motowóz, przewożący ludzi, opalał w nim burżujkę, smarował osie, żeby nie zapaliły się od ciężaru przewożonych kłoców. Prawda, w wyniku przebywania w Podgorodnoje był ten plus, że mógł dokonać zakupów materiałów fotograficznych, dzięki którym zachował się dziś tak ważny przekaz z tamtych lat.

Dopiero w 1955 roku doprowadzono sieć radiową, zwaną tu toczką²⁸, a w Polsce potocznie „kołchoźnikiem”. Był to głośnik z regulatorem, przez który można było słuchać jednej stacji. Czas był nowosybirski, a z głośnika Dargiewiczowie usłyszeli też i uświadomili sobie, jak rzeczywiście jest „sziroka strana, maja radnaja.”²⁹ Tę sowiecką piosenkę nadawano każdego dnia. Jeden raz usłyszeli wypowiedź Cyrankiewicza, który mówił, że należałoby łączyć rodziny polskie, porozrzucane po świecie, i wtedy pojawiła się iskierka nadziei o bardziej konkretnych kształtach – skoro ta wypowiedź dotarła aż na Syberię, coś w tym musiało być. Powrotem żyli przez cały czas. Tym bardziej, że o

ucieczce raczej nikt nie myślał. Człowiek zginąłby w tajdze, a o szukaniu pomocy w innych posiołkach nie było mowy. Jak też poruszać się bez dokumentów w większych miastach, które otaczały gęsto łagry? Latem byli odcięci wodą, zimą – śniegami i mrozem.

Prawda, jednej osobie udało się zbiec. Jak to nie dziwne, 14-letniemu chłopcu z rodziny Krasowskich, pochodzącej z Podbrzezia. Chłopiec szczęśliwie dotarł do Wilna. Tadeusz Dargiewicz po latach spotkał go jako dorosłego mężczyznę w Giżycku, gdzie Krasowski z rodziną potem zamieszkał. Gdyby wiedział, że zostaną zwolnieni, chyba nie podejmowałby tego ryzykownego przedsięwzięcia. Gdyby wszyscy wiedzieli, że pozostaną zwolnieni po kilku latach, inaczej patrzyliby na swój los, inaczej odbywaliby swą katorgę, a może i na miejscowym cmentarzyku byłoby mniej krzyży...

Ale któż to mógł przewidzieć?



Ferdynand Ruszczyc

Powrót

W 1956 roku w posiołku Lesnaja zaczęto mówić o powrotach. Po różnych perypetiach (Adolf ubiegał się nawet o wyjazd do Moskwy w tej sprawie, ale życzliwi odradzili - taki wyjazd mógł zaszkodzić) zapadła decyzja o zwolnieniu rodziny Dargiewiczów.

Mieszane mieli uczucia, bo przestawali już wierzyć w taką ewentualność. Po pięciu latach pobytu w Syberii pogodzili się w

pewnym stopniu z przeznaczeniem, ze słyszenia wiedzieli, że może być znacznie gorzej - mieli przecież chatę, krowę, wykarczowali sobie niewielką działkę, otaczali ich dobrzy sąsiedzi. Dargiewiczom poszczęściło się - wracali jako pierwsi.

Zazdrozczono im i cieszą się jednocześnie, bo skoro jedni wyjeżdżają, to i na innych przyjdzie kolej. Wśród miejscowych byli jednak tacy, którzy namawiali zostać, bo w Polsce jest... niepewnie! Władza znowuż, ale już w innym tonie, proponowała pozostać.

- Wyjeżdżając, chcieliśmy mieć jakieś dowody naszego „dobrowolnego” pobytu na Sybirze. Szczególnie uparł się nasz „inteligent” - Adolf - i zaczął kombinować, żeby nam dali jakąś bumagę³⁰. Ale naczałstwo było nieugięte, miało swoje instrukcje i stanowczo odpowiadano: „Nie nado wam budiet.”³¹ Nasi sąsiedzi, ludzie różnych narodowości błagali: „Pamiętajcie o nas, pomóżcie i nas stąd wyciągnąć!” - wspomina Tadeusz.

Postanowili zebrać się jak najszybciej, broń Boże, żeby nie zmieniono decyzji. Kiedy wyjeżdżali, nie było mowy o powrotach Niemców, Ukraińców czy Litwinów. Sytuacja Polaków okazała się szczęśliwsza - o nich ktoś upominał się na szczeblu państwowym - choć kraj był zniewolony, to bezpośrednio nie wchodził do sowieckiego imperium.

Zebrali się więc bardzo szybko. Tak naprawdę, to nie było czego zabierać, prócz jedzenia na drogę. Choć może zabrali ze sobą za dużo ziemniaków, to potem przydały się w długiej podróży.

Odprowadzali Dargiewiczów wszyscy. Całym posiołkiem. Jakże wzruszające były pożegnania z towarzyszami niedoli! Wyznaczano sobie, przywołując najśmielsze marzenia, miejsce spotkań, obdarowywano pamiątkami. Taki prezent, w postaci zestawu – piła produkcji niemieckiej, młotek i siekierka – dostał i Tadeusz. Od Niemca, który jako płotnik uczył go tajników stolarstwa ze specjalnością wyrobu trumien. Zestaw ten dopiero niedawno zawieruszył się gdzieś w olsztyńskim garażu Tadeusza. Na drogę dostali też wódki, bo jakże bez niej przy takiej okazji! Kiedy odjeżdżali, u pozostałych szkliły się łzami oczy.

Saniami przebyli 50 kilometrów do miasteczka Podgornoje. Był jeszcze jeden współpasażer, który udawał się do miejscowego więzienia. Nawet komendant NKWD Błochin zmiękł i zaproponował, że za poduszki da konia zamiast powolnego wołu. Zgodzili się i kiedy dotarli na miejsce, czekał na nich kukuruźnik³². Razem wystartowała jeszcze jedna rodzina.

W Tomsku po raz pierwszy od lat poczuli się ludźmi. Nagła dobroć sowiecka sprawiła, że obdartusów odpowiednio „przyubrano”. Ojciec dostał kurtkę, brat też jakieś ubranie. Po raz pierwszy wyspali się po ludzku w normalnych łóżkach, dostali

posiłki, w mieście to nawet bez eskorty żołnierzy można było pójść na spacer...

Podróż do Polski trwała dwa tygodnie, jechali pociągiem osobowym, nawet z sypialnymi wygodami. Z Tomska z Polakami wyruszyły trzy wagony, po drodze doczepiano kolejne, w sumie około dziesięciu. Gdzieś w połowie drogi na wagonach wywieszono polskie sztandary. Dziwili się na stacjach ludzie, że Polska ma jeszcze swe barwy narodowe.

W wagonie konwojował - „dla porządku” - Dargiewiczów tylko jeden żołnierz. Owszem, bardzo grzeczny, wciąż pytał, czy czegoś nie potrzebują. „Niczewo nie nado nam, nie nado”³³ - odpowiadali pośpiesznie, obawiając się wciąż, że los może się odmienić, tym bardziej, że doszły słuchy, iż jedna rodzina została z sosteraw³⁴ zdjęta. Może dlatego, że narzekali na swój los, powiedzieli za dużo? - zastanawiali się. Po drodze widzieli przecież niemało strasznych rzeczy. Na wszelki wypadek postanowili mówić jak najmniej i nie wyrażać żadnych odznak niezadowolenia i sprzeciwu.

W Polsce

Granicę przekroczyli w Terespolu. W ciągu tygodnia przebywali w punkcie rozdzielczym w Żurawicy. Niektórzy potrzebowali szpitala, byli wygłodzeni. Sybiraków traktowano bardzo

serdecznie, z wyrozumiałością. Ale trzeba było gdzieś się zakotwiczyć. Dargiewiczowie wyruszyli do Olsztyna, gdzie był już jeden z braci. Niestety, po tylu przeżyciach i stratach, na jakiś kąt własny nie można było liczyć. Święta Bożego Narodzenia Anno Domini 1956 witali na wolności, u brata, który ich przygarnął. Każdy dostał po tysiąc złotych zapomogi, i to było wszystko. Choć mieli tzw. Kartę, w której zapisano, żeby pomagać przybyłym, to władze podchodziły do tych z Sybiru najczęściej z rezerwą. Zaczynali więc od zera znowu, musieli mieszkać kątem u krewnych i znajomych, szukać pracy. Ale było to jednak życie na wolności.

Zaczęli powracać i inni. Po roku wrócił kolega Tadeusza Pałabis i również zamieszkał w Olsztynie. Powroty kolejnych rodzin były utrudnione: o ile Dargiewiczowie wracali na koszt państwa, to już po nich trzeba było zarobić na opłacenie podróży. A to nie taka łatwa była sprawa w tamtych warunkach, więc dorabiali, jak tylko mogli, wymagało to często niehumanitarnego wysiłku.

Różnie ułożyły się losy ich sąsiadów i znajomych z zesłania. Tacy Woronkowie, na przykład, przez lata czekali, że dzieci ich zabiorą. Tak i nie doczekali się.

Los Mieczysława

- Dzięki Bogu, mnie los oszczędził. Choć nigdy nie byłem atletą,

to zdrowie dopisywało, podobnie innym braciom. Ale nie wszystkim. Jak już opowiadałem - wyjaśnia Tadeusz, - brata Bronisława zastrzelił policjant. Najwięcej dostawało się Mieczysławowi - choć dobrze był zbudowany, wysoki. Niemcy go aresztowali w czasie wojny i chcieli wywieźć, czekali na decyzję w Rudominie. Ale jakoś udało się rodzicom temu zapobiec. Mieczysław był bardzo pracowity, prawdziwy gospodarz. Z drugiej strony - niezwykle wrażliwy. Kiedy przyjechali zabrać ostatnią krowę, tak bardzo się przejął, nie oddawał, więc enkawudziści starali się „zastraszyć” go, strzelali w jego stronę, a potem związali powrozem ręce. Kiedy zbliżały się wywózki, uciekał. Dostał silnej nerwicy, nie było żadnej możliwości leczenia. W tym czasie ktoś spalił kolchozową stodołę w Rybniszkach, gdzie były zmagazynowane narzędzia rolnicze, zabrane u miejscowej ludności. Na to Mieczysław ucieszył się i powiedział: „Czyżby przychodzi koniec na bandytów?” Coś w nim pękło, zabarykadował się w dużym domu w Baraszkach, przychodził tylko na wspólne posiłki, sposepniał. Kiedy nas w 1951 roku zabierano, stał się agresywny, mógł nawet schwycić za siekierkę... Więc sprowadzono większą siłę, Mieczysław zaczął uciekać, prawdopodobnie do siostry Anastazji, która była mężatką i mieszkała w Solecznikach. Dogonili go akurat naprzeciwko domu pana Konopnickiego i tak zbili, że już nigdy nie odzyskał świadomości. Nawet na Sybir go nie zabrali, bo i komu taki był potrzebny? 40 lat przebywał w szpitalu dla umyślowo chorych w Nowej Wilejce. Po latach nie poznawał

nikogo, nie mówił nic, gdy go odwiedzaliśmy, nawet nie brał od nas jedzenia. Zmarł samotnie w jakimś miasteczku na północnej Litwie. Nie zostaliśmy nawet powiadomieni o jego śmierci, dowiedzieliśmy się o tym dopiero w grudniu 1994 roku. Kiedyśmy napisali list do litewskiego ministerstwa, nie żył od ośmiu miesięcy. Po naradzie z bliskimi postanowiliśmy go godnie pochować i przewieźliśmy jego prochy na cmentarz na Rossie. Spoczął obok brata Bronisława - kończy gorzką opowieść Tadeusz.

Zapamiętał go jako przystojnego mężczyznę. W 1951 roku Mieczysław miał 20 lat, po małżeństwie marzył o dużej, zasobnej gospodarce.

Los najbliższych

Rodzice Tadeusza Dargiewicza zmarli w Polsce, dożywając sędziwego wieku. Zmarł też w Gdańsku brat Tadeusza Franciszek. Adolf, „fotograf sybirski” i człowiek o zacięciu artystycznym, mieszka w Białymstoku, Wilhelm - żołnierz AK, uniknął Syberii i w 1945 przyjechał do Olsztyna, siostra Maria dostała się do Polski również w 1945 i osiadła w Gorzowie Wielkopolskim. Inna siostra - Anastazja Zieniewicz, już w czasie wojny była mężatką i to ją uratowało od wywózki. Dziś mieszka w Wilnie.

I wreszcie Tadeusz, którego opowieść w dużym skrócie próbuję utrwalić. Chciał zawsze się uczyć, ale nie sądzone mu było. Pracował jako robotnik, ślusarz, konserwator maszyn krawieckich. Nie narzeka, jest pogodnego usposobienia, bez emocji opowiada, że przez długie lata nikogo nie obchodziły ich syberyjskie losy, władza udawała, że tej tragedii nie było. Ożywia się, kiedy mówimy o działalności Związku Sybiraków, którego jest członkiem. Tak, spotykają się często. Uczestniczą w nabożeństwach, coraz częściej w pogrzebach, biorą w nich udział księża-katorżnicy. Ulgi? Drobne są. Nie płaci za telewizor, radio. Są pewne zniżki kombatanckie.

Tadeusz często myśli o Wileńszczyźnie, interesują go wieści z Litwy. Cieszy się, że jest ona wolna. To co było, nie wróci – powiada. Zresztą i z osady nic dziś nie pozostało. To miejsce porosło brzoškami. Nadzieja w przyszłości – uważa – w kontaktach nowego rodzaju między dziećmi wychodźców z Wileńszczyzny w Polsce a Polakami, którzy na niej zostali.

Zafascynowana miastem nad Wilią jest jego córka Elżbieta, udzielająca się w Towarzystwie Miłośników Wilna i Ziemi Wileńskiej. To dzięki niej poznałem swych krewnych. Ela posiada mnóstwo zdjęć z Wilna i okolic, zawsze przyjeżdża „głodna” wrażeń i wiedzy o tych stronach. Jest pedagogiem. Tytuł jej pracy magisterskiej, którą obroniła w Wyższej Szkole Pedagogicznej w Olsztynie, brzmi: *Monografia polskiej szkoły*

średniej im. A. Mickiewicza w Wilnie. W tej szkole spędziła wiele czasu, chcąc poznać potrzeby i możliwości naszego szkolnictwa. Pragnie współpracy młodego pokolenia i częstszych kontaktów wzajemnych.

Przedstawiłem mały tylko wycinek życia Dargiewiczów w burzliwych i okrutnych czasach terroru. Zdaję sobie sprawę, jak niepełna jest ta opowieść. Bo i czyż można ogarnąć los ludzki w czasie krótkiego spotkania? Jako „kronikarz” tych ziem, będę chciał się przyczynić, aby ocalić od zapomnienia złożone i tragiczne losy ludzi wywodzących się z Wileńszczyzny – wszak nie ma rodziny, którą by oszczędziła gehenna wojny i późniejszych „porządków”.

¹ *niekrasijow ženszcziny* – brzydkiej kobiety (ros.).

² *pogołowno* – dosłownie: co do głowy, wszystkich, co do jednego (ros.)

³ *parsiuczek* – prosiak (gwara wil.).

⁴ *spiecpieresieleniec* – przesiedlenie o charakterze specjalnym (ros.).

⁵ *barża* - barka (ros.).

⁶ "Matko, u nas kula kosztuje cztery kopiejki, a ty i tak tutaj zdechniesz. Za darmo." (ros.).

⁷ *Niurskij Lesozagotowitielnyj Punkt* - Niurski Punkt Skupu Drewna (ros.).

⁸ *uczastok* - dcinek (ros.)

⁹ *posielenije* - osiedlenie, zesłanie (ros.).

¹⁰ *nadziratel* - dozorca, obozowy (ros.).

¹¹ *bumaga* - papier, dokument (potocznie, ros.).

Syberyjskim szlakiem

Dargiewiczów. Część I.



Krzyż w śniegu
1902. Olej na płótnie. 104 x 128 cm.

Romuald Mieczkowski

Widziałem w dzieciństwie takie zdjęcie: opatulona w łachmany para starszych ludzi stoi gdzieś w lesie. Rodzice mówili, że zdjęcie przysłała rodzina z Syberii. Dalsza. Prababka kobiety, będącej na fotografii, była siostrą mojej prababki.

Na stole - dziesiątki zdjęć z Syberii. Przeglądamy je z Tadeuszem u jego w domu - w Olsztynie. To cud, iż z nieludzkiej ziemi zachowały się one. W jaki sposób, to oddzielna historia, o której później. Wykonał je Adolf Dargiewicz. Zaczyna płynąć rozmowa, a wraz z nią - obraz tragedii, jak też szczęścia, bardzo wymiernego - że się po prostu zostało żywym. A tak przecież trudno było żyć w tamtych czasach rodzicom deportowanych, bo młodzi, jak to młodzi. Dla nich inaczej mierzyl się czas, nawet w tych poniżających godność ludzką warunkach.

Na Wileńszczyźnie

Z Tadeuszem wyjaśniamy stopień naszego pokrewieństwa. Jego ojciec miał na imię Franciszek, matka - Wiktoria. Przed wojną gospodarowali na 4 hektarach w Porubanku pod Wilnem. Kiedy rozbudowywano lotnisko, władze polskie wykupiły ziemię, płacąc

zupełnie nieźle. Tyle, że za otrzymane pieniądze Dargiewiczowie kupili... 44 hektary w Baraszkach, niedaleko Rudamina. Prawda, najwięcej było lasu, w tym ziemi ornej niewiele, ale opłacało się – rodzina liczyła ośmioro dzieci. W domu nigdy nie przelewało się, ale i głodu nie było. Wszyscy dużo pracowali. Zaplanowali sobie wykarczować część lasu. Prace utrudniał na obrzeżach obfity w kamienie grunt. Był to wielki wysiłek. Praca odbywała się bez jakiegś techniki – jako narzędzie służyła specjalna żelazna brona, ciągnięta przez konia – reszty miały dopełnić własne ręce, przede wszystkim starszego rodzeństwa, braci Tadeusza – Bronisława, Mieczysława, Wilhelma, Adolfa, Franciszka- juniora.

Wykarczowano osiem hektarów. Drzewa na opał było bez ograniczeń, a i pięknego budulca też. Wzniesiono przestronny dom wraz z zabudowaniami gospodarczymi, wykopano studnię i staw, w którym miały być ryby – karasie i karpie – na święta, do posmakowania. Wielkim wzięciem cieszyła się łaźnia. Ze wszystkich stron, żeby w niej „poparzyć się”, ściągali sąsiedzi, przyjeżdżali z Wilna znajomi.

Pracowali ciężko, ale po pracy ileż było radości! Miejscowość piękna, słowiki śpiewały, a i do Wilna – ręką podać. I perspektywa zrobienia wzorowego gospodarstwa, i radość z tak licznej rodziny, prawdziwego klanu na własnej ziemi.

Idylla trwała niedługo – do wybuchu wojny. Bronisław i Adolf

zostali ranni w 1939. Wojna, jak to wojna, trudne były czasy. Mieszkali na uboczu, więc byli pod szczególną obserwacją. Jednego razu, kiedy przybyli dwaj policjanci litewscy i ubliżali rodzicom, bracia mający doświadczenia wojenne ich... rozbroili. Policjanci zaczęli przeżywać i płakać, że Niemcy ich rozstrzelają, zaklinali na litość i własne rodziny - żeby tylko oddać broń, a już więcej nie będą nachodzić w taki sposób. Kiedy broń im oddano, policjant o nazwisku Mordas strzelił i Bronisława położył na miejscu, drugiemu bratu, który przyczynił się do rozbrojenia, udało się zbiec do lasu...

Nie mniejsza gehenna była w czasach sowieckich. Dargiewiczowie dla nowej władzy byli klasycznymi wrogami, których nie można było nie rozkułaczyć. Ale nie od razu. Stopniowo zabierano wszystko, a co zostawiano, okładano niemiłosiernymi, ponad możliwości ludzkie podatkami. Potem zapadła decyzja wywózki, wszystkich razem. Robili więc wszystko, żeby nie przebywać wspólnie. Mężczyźni ukrywali się, nocowali w stodołach i różnych kryjówkach.

Kiedy zabrano do nowo utworzonego miejscowego kołchozu „Aurora” ostatnią krowę, zaś ta wróciła po paru dniach, to jeden z braci - Mieczysław - nie potrafił ją znowu oddać, wtedy „dla postrachu” strzelał w jego stronę niejaki Kaczanowski, z politruków, który prawdopodobnie w okresie późniejszym wyjechał do Polski. Mieczysław dostał tak wielkiego szoku, z

którego nie uwolnił się już do końca życia. Spędził je w szpitalu dla umysłowo chorych w Nowej Wilejce, samotnie zmarł. A już miał odbyć się jego ślub z młodą dziewczyną po sąsiedzku, wyszły nawet zapowiedzi w kościele rudomińskim...



Ferdynand Ruszczyk Most zimą.

Mieli też trudności enkawudziści z Adolfem. Zimą nocował w stodole, był przykrywany deskami w stogu siana, dokąd Tadeusz, jako najmłodszy, nosił jedzenie. Pracował w polu, przebrany... za kobietę; akurat kopał ziemniaki, kiedy dwóch mężczyzn na

koniach zwróciło się do niego z pytaniem, gdzie może być Adolf. Wskazał byle jaki kierunek. Żeby mieć zmieniony głos, trzymał w buzi chyba mały ziemniak. Odjeżdżając jeden z enkawudzistów splunął, mówiąc, że w życiu nie widział tak niekrasowej zenszczyzny¹. Kiedy się połapali, Adolf ukrył się.

- Jeden raz w życiu musiałem wyrzec się ojca - opowiada mój rozmówca. - Przyjechali z zamiarem nas wszystkich zgarnąć. Ktoś widocznie doniósł, że ma wrócić z miasta, dokąd pojechał do młyna. Jako podrostka wsadzono mnie do samochodu, by wskazać ojca. Serce mi mocniej zabiło, kiedy zobaczyłem, jak na Lipówce furmanką jedzie ojciec, ale udałem, że nie znam tego człowieka...

Tak nie mogło długo trwać. Na początku lat pięćdziesiątych wywożono w sposób planowy - całymi rodzinami, o które przecież tak troszczyła się władza sowiecka, a jeszcze bardziej o to, żeby nie było buntów, żeby rusyfikować „wrogów” nowego ustroju *pogołowno*² i „wychowywać” ich przez pracę.

Kiedy 2 września 1951 roku sowieci dość mieli zabawy w kotka i myszkę i przyjechali po Dargiewiczów, głowa rodziny schował się pod łóżko. Na Syberię dowieźli go później, po wielu perypetiach „złączono” go z rodziną.

Na spakowanie dano pół godziny. Pośpiesznie zakłuto

parsiuczka³, z sobą zabrali cztery worki kartofli. Z takim bagażem trafili na stację kolejową w Landwarowie. Stąd zaczynała się droga, która na zawsze oddaliła Dargiewiczów od ziem ojczystych. Wywózki uniknęła Anastazja, tuż przed nią wyszła za mąż, nie zabrano Mieczysława, jako nieobliczalnego w swej chorobie, a taki nie był potrzebny ani na Syberii, ani groźny tu na miejscu.

Trudno dziś powracać do tamtych dni. Tadeusz Dargiewicz milczy przez pewien czas. Potem kontynuuje opowieść. O zgiełku i rozpacz na stacji Landwarowo, gdzie do bydłych wagonów ładowano ludzi wraz z pośpiesznie zabranym dobytkiem, który był w zasięgu ręki. Zapamiętała się mu taka scena: młoda kobieta wsadza dziecko do worka i przerzuca go przez kolczaste druty...

- I oto jesteśmy w drodze - opowiada. - Z zakratowanego okna wagonu z niepokojem obserwujemy teren. Po dwóch dobach jazdy zobaczyłem owies utkwiony do połowy w śniegu, a nad nim chmary wróbli, które wydziobywały małe ziarenka. Ściśnięci byliśmy w tym wagonie. Miał on numer 47, zaś wszystkiego wagonów było 56. Ciągnęły je dwie lokomotywy. Kiedy zagłębialiśmy się dalej na Wschód, robiło się chłodno. Dano więc nam piecyk, potocznie zwany burżujką. Najgorszy był moment załatwiania własnych potrzeb. Przez dziurę w podłodze wagonu. Parawan z koca służył za osłonę. Potem zaczęto nas

wyprowadzać na peronach, w eskorcie żołnierzy. Ludzie byli wykończeni. Choć na stacjach panował chaos, mało kto myślał o ucieczce. W większości jechano rodzinami, więc trzymano się razem. Na stacjach dawano kapiatok - wrzątek. Musiał go przynieść ktoś z wagonu. W naszym wagonie zajmowała się tym kobieta, która dziecko zostawiła za drutem. Jednego razu nie wróciła. Ciekawe - zastanawia się Tadeusz, - jakie były jej losy, co stało się z dzieckiem, czy się spotkali?

Podróż trwała trzy tygodnie, aż wszystkich pod koniec września 1951 roku wysadzono w Tomsku. Nie był to kres przymusowej wędrówki. Nad stromym brzegiem Obi utworzono ogromny obóz spieczeresielenców⁴, którzy mieli „trochę szczęścia”, bo był to łagodniejszy wymiar kary - ludzi tych mogła jeszcze „wychować” mordercza praca, wyrzeczenie się swej narodowości i deklaracja, że „dobrowolnie” chcą tu pozostać.

W miarę przybliżania się do tego miasta, zasieków z kolczastego drutu przybywało. Jak sięgnąć wzrokiem, rozpościerały się łągry. Było tu już chłodno, ludzie brali drzewo z brzegu rzeki i mimo zakazów, palili ogniska. Czekano na dalszy etap zesłania - w głąb tajgi, już drogą wodną.

- Strasznie wyglądało to czekanie. Nękały nas najgorsze przeczucia, tyle przecież wiedzieliśmy o okrucieństwach Sowietów - wspomina mój krewny. - Siarczyste przekleństwa po

rusku. Czekala nas jeszcze jedna podroz, ktora trwala tydzien, z przesiadka z barzy⁵ na maly statek, ktory od Obi poplynal w gore rzeki Czaji. Barza ciagnieta byla przez statek. Ludzie, schorowani i zdeterminowani, zajeli miejsce w jej dole, w wielkim brudzie i ciasnocie, jak sledzie w beczce. Matka przez caly czas plakala, w pewnym momencie nie wytrzymala i zwrócila sie do zolnierza z wycelowanym do ludzi karabinem ze slowami, zeby zastrzelil ja. Zolnierz na to usmiechnal sie i powiedzial: „Mat’, u nas pulia stoit czetyre kapiejki, a ty i tak zdzieś padochniesz, darom.”⁶

Tadeusz znowu robi przerwe. Glos mu drzy. A potem, zeby odejsc od smutnych wspomnień, opowiada dlugo, ze szczegolami o statku. Jako malego chlopca interesowala go technika, wiec zapamiatal, ze statek, ktorym plyneli Czaja, byl napedzany drewnem, a byla to machina, jakie czasem widzimy na starych filmach - ze sruba przez srodek statku, z urzadzeniami w ksztalcie kola z lopatkami z desek, jakie spotykalo sie w wodnych mlynach. Takie kola byly po obu stronach burty. A wokol las. Taki sam. W nieskonczoność.

Kiedy dotarli na miejsce, trzeba bylo przejśc kladka, zawieszona wysoko nad wodami rzeki. Tadeusz pośliznal sie i dosloownie w ostatniej chwili za kark go zlapal zolnierz. W dole zostala brunatna toń zimnej wody, ktora czasami sni sie mu w snach syberyjskich. Ale podroz nadal trwala. Dalej byla rzeka Niursa.

Nad jej brzegami mieli wydatnie przyczynić się do przerzedzenia tajgi w miejscowym LZP - Niurskim Lesozagotowitielnym punkcie⁷. Tu poznali nową władzę - kierownikiem uczastka⁸ był niejaki Błochin, komentantem od NKWD - Korowin, jego zastępcą - Kobielow. Co do imion Tadeusz dziś nie ma pewności, natomiast tych nazwisk pamięć w żaden sposób nie potrafiła ich wymazać.

- Miejscowi ludzie zapytali żołnierzy, kogo przywieźli - ciągnie opowieść, - a żołnierze na to: „Eto biełyje bandity.” Mój Boże, to my byliśmy bandytami!

Pierwszym ich miejscem posielenija⁹ była „Wośmaja - Ósma, następnie - Zawodskaja, potem - Lesnaja. Wszędzie to samo, bez prądu, z dala od świata i większych osiedli. I wszędzie tacy sami towarzysze niedoli - Polacy, Ukraińcy, Litwini, Niemcy...

W każdym miejscu, nawet tym najgorszym, po wypłakaniu wielu łez, apatii i bezsilności, przychodzi czas pogodzenia się z losem, czas układania sobie życia w nowych warunkach. Na początku spiecpieresielencom dano baraki, przedzielone sienią na dwie części - męską i żeńską. W każdym rogu było po pięciu. Spano na żelaznych łózkach. Baraki przypominały więzienie, co sprawiało, że nastrój był przygnębiający. Dla zapomnienia się Adolf Dargiewicz namawiał kolegów do śpiewania patriotycznych piosenek polskich, na co krzywo patrzyli nadziratieli¹⁰, ale nie

mogli nic powiedzieć, bo nie rozumieli, o czym jest mowa w tych piosenkach. Powoli strach ustępował, bo i dokąd to jeszcze można było zesać? Co jeszcze człowiekowi odebrać prócz życia?

Na początku to najgorzej było z podpisaniem bumagi¹¹, że się chce w tym miejscu pozostać „dobrowolnie” – na całe życie. Nikt nie chciał tego czynić. Co tylko nie robiono z opornymi! Wsadzano ich do ziemiarki, nie tyle piwnicy, co naprędce kopanego dołu.

- Pamiętam, jak w takim dole siedział mężczyzna w mundurze żołnierza. Wojska Polskiego. Tak ubranego właśnie przywieźli go tutaj - opowiada Tadeusz Dargiewicz. - Nazwisko miał Antonowicz. I musiał biedny podpisać na siebie wyrok. Potem jakby nieco ulżyło, bo zaczęły krążyć plotki, że jakieś zmiany będą. I podpisy, które złożyli ludzie, nie będą cyrografem ostatecznym.



Krajobraz

1902. Olej na płótnie naklejonym na tekturę. 46 x 45 cm.

Lwowska Galeria Sztuki.

Swój dom w tajdze

Życie w barakach miało swoje prawa. Rodziny były podzielone,

więc Dargiewiczowie postanowili zbudować sobie dach nad głową. Taka możliwość istniała. Zazwyczaj domy budowano tu bez jedyne go gwoźdźdza, miały one dwa małe okienka, w środku – gliniasty piec i prycze. Poślanie było z wiór, dla odmiany bywał mech. Jeszcze jeden piec w okresie letnim rozpalano przed domem. Nie było studni. Miejscowi Rosjanie mówili, że jej wykopanie jest rzeczą niemożliwą. Wodę więc zimą brano ze śniegu, latem, gdzie się tylko dało, najczęściej spod karczwy. Była to brunatna ciecz o specyficznym zapachu i smaku.

W takich domach było niezwykle ciasno, ludzie nie mieli dosłownie nic, panowała niewypowiedziana nędza, wręcz prymitywne bytowanie. Ale nie można było odebrać tej małej namiastki wolności, dzięki której mogli mówić w swych ojczystych językach, do woli modlić się i wypłakać, z dala od cudzych oczu.

Jako-tako układali sobie życie. Najlepiej sobie radzili Niemcy. Ich domki wyglądały schludnie, wzniesione były z dużą pomysłowością. W ogóle to dziwne – zastanawiał się nieraz w trakcie swej opowieści Tadeusz, że człowiek w warunkach tak ogromnego przygnębienia zachowuje tak wielką chęć życia, dąży do zapuszczenia korzeni – na obcej ziemi, z uporczywą myślą, że na krótko.

Po pół roku dowieziono ojca, choć żadna to pociecha, że nie

udało się mu ukryć. I wtedy przystąpiono do budowy domku. Ojciec ociosywał bierwiona, które przekładano mchem. Z wybudowaniem tego gniazda na obczyźnie poczuli się różnie. Choć było ciasno, to ciepło w czasie trzaskającej mrozami zimy. Najgorzej było wiosną - w szparach siedziały jakieś syberyjskie świerszczyki, które wydawały bardzo głośne i nieprzyjemne dźwięki, wyłaziło też różne robactwo i wszechobecne w tych stronach karaluchy.

Sąsiedzi

- Spośród naszych syberyjskich sąsiadów - wspomina mój krewny - było dużo ludzi spod Lwowa, Stanisławowa, Halicza. Niemal wszyscy znali polski. Niektórzy mówili po ukraińsku, ja też nauczyłem się tego języka. Za wyjątkiem Niemców, byli też inni obok nas ludzie - jak to się potocznie mówi z Kresów. Od nich też wziął swój początek miejscowy cmentarzyk.

Żyło się bardzo zgodnie ze sobą. To Tadeusz podkreśla kilkakrotnie. Prócz ludzi wspomnianych narodowości byli też Rosjanie. Mieli oni jednakże inny status, który pozwalał im zajmować kierownicze stanowiska. Byli to też zesłańcy, nawet ci z ramienia NKWD musieli gdzieś „przeskrobać się”. Miejscowych od razu można było odróżnić. Byli wyrozumiali, podobnie, jak potomkowie wcześniejszych zesłańców. Jeden z nich to nawet żegnał się, interesowała go wiara w Boga. Należał do grona tych,

których przodkowie może trafili tu jeszcze za cara.

Patrząc na *specpieresieleńców*, Rosjanie kiwali milcząc głowami. Znacznie wcześniej od obecnych zesłańców, ich rodzice przekonali się na własnej skórze, co to znaczy być kułakiem. A przecież wielu z nich posiadało gospodarstwa, stadniny koni, zakłady i sklepy. O tym głośno nigdy się nie mówiło, ale wszyscy wiedzieli. Swą gorycz topili w wódce. Jeden z potomków jakiegoś znanego rosyjskiego rodu przedsiębiorców Tadeuszowi powiedział tak:

- Cała nagroda za pracę, to butelka wódki. Jak nic nie można mieć przy tej władzy, to co robić? Z pijanego, to i *spros*¹³ mały i nie narazisz się proletariatowi...

Różni byli ludzie spośród miejscowych. Serdeczni i uczciwi, prawdomówni i bardzo skryci. Wśród nich byli i donosiciele.

- Kiedy poszedłem do brata, który pracował w innym *posiołku*¹⁴, osiem kilometrów od nas, by go odwiedzić i porozmawialiśmy sobie po polsku, ktoś doniósł, że poszedłem buntować - wzdycha Tadeusz, - no, i musiałem oberwać.

Zresztą co się dziwić ludziom? Byli kompletnie zdezorientowani, ciągle wmawiano im, że mają do czynienia z „wrogami ludu”. Informacja docierała tu skąpa i odpowiednio spreparowana. Żeby

ludzie zbytnio nie główkowali, dano im pracę nieludzko ciężką i za marny grosz. Byle tylko utrzymać się przy życiu. Pod warunkiem, że zdrowie nie nawali.



Ferdynand Ruszczyc, Stare jabłonie.

Wychować miała praca

I o tym ciągle przypominano *specpieresielencom*. Ojciec mojego rozmówcy, Franciszek Dargiewicz, tak się szczęśliwie ułożyło, nie pracował ciężko fizycznie. Był zajęty przy koniach, robił uprząż, co w tamtych stronach mało kto potrafił. Była to rzadka tu umiejętność.

Do podstawowego zajęcia natomiast należał wyrąb lasu. Były

wyznaczone „normy” - i chcesz czy nie, miałeś je wykonać. Trzeba powiedzieć - podkreśla w rozmowie Tadeusz - pracowano szczerze i uczciwie, nawet zbyt uczciwie - po chwili poprawia. Taki sąsiad Dargiewiczów w niedoli Krasowski, to z przepracowania na zawsze pozostał w tajdze, znajdując tam miejsce wiecznego spoczynku.

Krasowscy pochodzili również z Wileńszczyzny. Ich dziadek był w Krasnojarsku. Pisali podania, bo chcieli być razem. I przyjechał - bardzo sympatyczny, wykształcony starszy pan. Przez cały czas kogoś dowozili w ramach „łączenia” rodzin.

Piłowane drzewo ładowano do tzw. motowozów. Taka lokomotywa była napędzana *czurką*, czyli brzożowymi klocami, które służyły jako paliwo. Oczywiście, większe i potężniejsze motowozy napędzane były ropą. Dowożono też nimi ludzi do pracy. Zimą w środku wagonu instalowano burżujkę.

A praca rzeczywiście była dla wytrwałych. Zmuszano harować na mrozie, nawet przy temperaturze niższej minus 43⁰, choć był jakiś regulamin zabraniający pracy w takich warunkach.

- Jednego razu - opowiada Tadeusz - kierownik lesozagotowitelnego punkta Trikoz zobaczył, że w czasie siarczystego mrozu ludzie obiad jedzą w baraku. Ze złością przewrócił stół, wylewając kipiatok. Żadne perswazje nie

pomogły, poszli pracować. Nic dziwnego, że niektórzy nie wytrzymywali, albo zostali do końca życia kalekami. Dobrze i to, że drzewa nie żałowano – niekiedy przy ogrzewaniu zziębniętych rąk, zapalały się kufajki. A ubranie trzeba było bardzo szanować – na rok przydzielano jedną parę kierzowych butów, kto znosił je szybciej – miał biedę, inne ubrania przydzielano jeszcze rzadziej.

Piły były motorowe. Istniały już stacje elektryczne, uruchamiano dzięki temu pracujące na ropy generatory. Prawda, jak był większy mróz salarka, czyli ropa stawała się gęsta, ale jakoś to pracowało. Każdy z drwali miał 200-300 metrów kabla, żeby się podłączyć. Pracować od takiego zasilania mogło naraz pięć-sześć pił. Przy wyrębie zatrudniano również kobiety. Dla nich była praca „łatwiejsza” – siekierkami oczyszczały drewno z gałęzi. Ciężko pociły się konie przy wakałuszach – krótkich saniach do wożenia kłoców drewna. Wykorzystywano i traktory, ale w tym kraju wszystkiego brakowało, a mechanizmy ciągle się psuły.

Były, rzecz jasna, i własne piły. Z bardzo cienkim ostrzem, łękowate. Zakładali się leSORUBY¹⁵, że najgrubsze drzewo taką z pozoru małą piłą zetną w ciągu pięciu minut. I ścinali. Życie ich nauczyło wielkiego mistrzostwa. Piła była ważnym narzędziem w tajdze – był nawet specjalista, który je szykował i naprawiał. Nazywał się piłopraw.

Ścinane kłocce zwożono z tajgi nad brzeg rzeki. Tu układano je

sztabelami¹⁶. Od wiosny drzewo spławiano w dół do Obi. W tym czasie trochę więcej można było i grosza zarobić – chodziło o to, żeby jak najszybciej kloce zepchnąć do rzeki, bo jeśli drzewo można ścinać przez cały rok, to czas spławu ograniczony był klimatem. Przy pracy w lesie dochodziło często do nieszczęśliwych wypadków, ludzie ginęli, bądź tracili zdrowie i nikt za to nie odpowiadał.

Istniały inne zajęcia. Robiono drewniane części do broni. Inne zawody należały do „elitarnych” i rzadko kto je ze specjeresieleńców wykonywał. Niektórzy, prawda, pracowali przy bydle, szykowali siano na zimę.

Z tym szykowaniem siana to bardzo rzecz dziwna była. Otóż miało się wrażenie, że stogi są bardzo duże, a w zasadzie siana było tam niewiele. Z różnych powodów. Przede wszystkim należało zrobić podłoże, bo grunt był podmokły – ponadto wypadało dużo śniegu, więc tak łatwiej można było je wydostać. Stogi układano więc wysoko – na gałęziach, karczach. Po drugie – wykonując „normy”, starano się ze wszelkich miar wykiwać nacjonalizm.

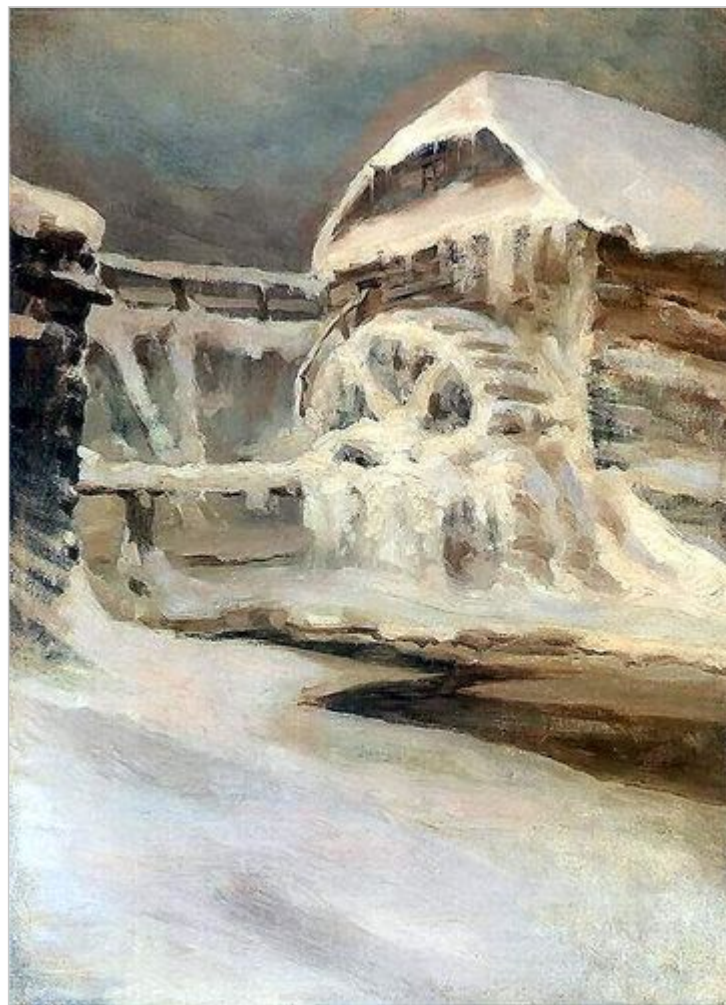
Obok picia wódki takie oszukaństwo, jak też przekupstwo czyli łapówki, należało do czynności, których w tych warunkach musieliśmy obowiązkowo się nauczyć. Ma się rozumieć, gdyby wszystkie zalecenia, instrukcje i rozkazy przyjmować serio, ofiar

- zupełnie niepotrzebnych - byłoby znacznie więcej. Tu życie ludzkie rzeczywiście nic nie znaczyło - z wielkim trudem, niezwykłym poświęceniem przygotowane drewno, gniło gdzie indziej lub spisywano na straty. Nawet nikt nie nazywał tego niegospodarnością. Drzewa, jak i innych surowców, w tym kraju nie musiało nigdy zabraknąć.

Przy wyrębie lasu gramatności nie potrzeba było. Może trochę więcej można było ją spożytkować, kiedy trafiało się do ekspedycji. Ale najczęściej brano do niej głównie kobiety - żeby nie tracić męskiej siły roboczej. Ekspedycja polegała na tym, że wytyczano szlak, którym drzewo dostarczano nad brzeg rzeki, wytyczano też szlak dla kolei. Na czele takiej wyprawy stał ktoś z władz.

I tak mijały dni na nowej ziemi. Mijały kolejne rocznice zesłania, niezliczone kloce potężnych cedrów syberyjskich, ściętych rękami Polaków, płynęły w kierunku Obi, a stamtąd dalej, ku sławie „socjalistycznej ojczyzny”.

Zajęcia specpieresielenca Tadeusza



Ferdynand Ruszczyk Młyn zimą.

- Jestem najmłodszy z rodziny, w momencie przybycia na Syberię miałem 16 lat. Nie mogli mnie zatrudnić przy wyrębie lasu, bo wtedy byłem pacan²⁰ - mówi mój krewny - Pierwszym moim solidniejszym zajęciem, jeszcze na etapie, przed wyruszeniem w głąb tajgi, było odwszawianie. Zawód nazywał się weszoprud czasami weszoboj. Obsługiwałem dość skomplikowane ustrojstwo²¹ - ludzie oddawali mi swoje ubranie. Ja umieszczałem je w takim metalowym pojemniku, zawieszałem na blaszanych

jego ścianach, zaś u dołu był rozpalony ogień. Pod wpływem temperatury wszy wyłaziły z ubrań. Trzeba było uważać, żeby łachmanów nie spalić. Miałem obserwować termometr - żeby nie dawać więcej żaru niż na 90 stopni. Ileż kilogramów tego świństwa wtedy mogłem zebrać?! - dziwi się Tadeusz.

Potem był płotnikiem, czyli stolarzem, ze specjalnością wyrobu trumien. Fachu tego nauczył go nadwożański Niemiec, których licznie zsyłano w tych latach na nowe posielenija. Razem robili też ramy do okien, drzwi, inną stolarkę.

Przez pewien czas sprawował funkcję obchodczyka²², coś w rodzaju torowego. Do obowiązków należało dopatrywanie torów, po których jeździły motowozy. W tych warunkach klimatycznych dość często trzeba było je naprawiać.

Kim się tylko nie pracowało! Pomagał kowalowi, który „wszystko potrafił naprawić”, przyjaźnił się z jego młodszymi od siebie synami, mówiącymi pięknie po polsku. Mianowano go koniuszym, a konie były dzikie, gryzły, kopały... Szczególnie dobrą opiekę musiał mieć koń, którym jeździł towarzysz kierownik.

- Bałem się tych zwierząt - przyznaje się Tadeusz. - Jednego razu zmuszano mnie, żebym pojechał do miejscowości, odległej 50-60 kilometrów, samotnie nakarmić sianem byki. Kiedy poprosiłem, żaby ktoś pojechał ze starszych ze mną, komendant NKWD

Korowin tak wlepił mi w nos, że do dzisiaj pozostał skrzywiony. Byli różni ludzie, wielu serdecznych spośród mieszkańców, a w administracji, niestety, nie brakowało złych, wręcz podłych.

Chodził też pieszo 40-kilometrową trasą do osiedla Podgornoje, gdzie była poczta, żeby przynosić paczki. Ciężko było z nimi pokonać drogę, ale wśród innych były paczki od krewnych, a one pozwalały utrzymać się przy życiu. Na trasie mieszkali Rosjanie, u których można było przenocować. Niektórzy podejmowali bardzo gościnnie, nawet częstowali samogonem, mówiąc łagodnie: „Priwykaj, malczik.”²³ W jednym z domów Rosjanka pokazywała mu zdjęcia Polaków, zesłanych dawno przed nimi.

Kiedyś przydzielono Tadeusza pomagać Ukraińcowi, który pracował na kolei. Ale nie zrozumieli się i rozebrał... nie ten barak przy torach, który trzeba było. Bardzo się przestraszył, ale Ukraińiec, bardzo poczciwy człowiek, tylko machnął ręką.

Różne były zajęcia, tak też szybciej leciał czas.

Niestrudzony fotograf Adolf

Brat Tadeusza należał do ludzi bardziej oświeconych i wrażliwych. Miał wykształcenie średnie, interesował się historią, literaturą, a wiadomościami dzielił się z innymi. W tajdze pisał wiersze, które śpiewano jako piosenki.

Jest też Adolf autorem unikalnych zdjęć z Syberii. Jakimś cudem udało mu się zdobyć aparat fotograficzny, który przemycił do posielenija. Ryzykował tym, bo wszystkie cenne rzeczy należało oddać do kamiery chranienija²⁴. Ale jakoś potem ludzie przyzwyczaili się do jego aparatu - choć niektórzy bali się pozować do zdjęć.

Gdy ludzie nie chcieli pozować, Adolf mawiał: *Pamiętajcie, przyda się to.*

- No i przydało się - stwierdza jego brat Tadeusz, - komu do akt sądowych, komu do świadectw kombatańskich. Niektóre weszły do kroniki sybiraków, a wiele jeszcze nigdzie nie publikowano.

Tych zdjęć zachowało się kilkadziesiąt. Zebrane zostały po krewnych, którym niegdyś wysyłałi. Nie tyle z posiołka, co z miasta Kołpaczew, skąd mniej sprawdzano. A do miasta tego udawał się Adolf byle był jakiś pretekst, nawet symulując chorobę, bo tam mógł dokonać zakupów niezbędnych materiałów. Ale niełatwa była sprawa zrobienia odbitek bez prądu elektrycznego. Papier był więc naświetlany w specjalnym urządzeniu. Zasada jego działania była prosta: na krótko należało odsłonić otwór, przez który sączyło się... światło słoneczne. Taka klasyczna camera obscura! Jak wykazują zdjęcia - wyniki okazały się dobre, wręcz fenomenalne: bez względu na niemal półwiecze od tamtych czasów, zdjęcia nie pożółkły. Utrwaliły najcięższe

fragmenty życia rodziny Dargiewiczów, innych ludzi, którzy już nie żyją, jak również tych, czyje losy pozostają nieznane.

A przecież nie tylko nie wolno było robić zdjęć, ale też żadnych rysunków, zapisek! Jedno z takich zdjęć z podpisem „Pamiętka z Sybiru” otrzymała i rodzina Mieczkowskich.

- Pamiętam, jak na początku posielenija - opowiada Tadeusz, - kiedy jeszcze ojca nam „nie dowieziono” i w Tomsku oczekiwał na wiosnę, żeby wraz z innymi dotrzeć do nas drogą wodną, napisałem mu list z prośbą, żeby kupił mi grzebień ze względu na wszy. Ile miałem przykrości, gdy list trafił do naczalstwa! Potem miejscowi radzili, żeby o ważnych rzeczach w listach nie pisać, bo grzebień, to już „sprawa polityczna”. Jeśli coś prosić o przysłanie, to najlepiej dustu²⁵, który działał bardzo skutecznie na miejscowe insekty.

Przeoglądam po raz któryś zdjęcia, zrobione w dalekiej Syberii, i nie mogę ukryć podziwu dla tej pasji Adolfa Dargiewicza, zamieszkałego obecnie z rodziną w Białymstoku. Z fotografii na nas patrzą pieresielency, ubrani grubo w nędzne łachmany, cień niepewnego uśmiechu błąka się na ich smutnych twarzach. Zdjęcia ukazują różne strony życia na Syberii, ludzi przy pracy. Dopełniają one kronikę syberyjskiego szlaku nie tylko rodziny Dargiewiczów, lecz wielu, którym wypadło razem żyć i dzielić trudny los.



Ferdynand Ruszczyc, „Obłok”, 1902, olej
na płótnie, 110 x 80 cm, wł. Muzeum
Narodowe w Poznaniu.

Życie w tajdze

Choć los wypadł ciężki, to nie można było nie podziwiać majestatycznego i surowego piękna otaczającej przyrody. Mieszkańcy z naszych stron po syberyjskiej gehennie potem raczej nie spotykali tak dorodnych i olbrzymich drzew, które tu umierały stojąc, przeżywszy kilkaset lat. Dwa razy do roku – wiosną i jesienią – przechodziły bardzo groźne burze, które dokonywały naturalnej selekcji w tym dziewiczym lesie: padały drzewa stare i chore. Prócz cedrów rosły tu pichty, brzozy, osiki.

W sklepie w posiołku można było kupić orzeszki cedrowe, z których wypiekano kiedrozi - chrupowate placki o smaku oleju drzewnego. Był to przysmak, do którego się przyzwyczajało z konieczności. W dodatku nie pozostawała sucha patelnia.

Jak się mawiało - tajga karmiła. Rosły czarne jagody, żurawiny. Tylko trzeba było uważać, żeby nie zabłądzić. Jednego razu, we wrześniu - wspomina Tadeusz - znaleziono po kilku dniach poszukiwań ciała zamarznętych na śmierć zbieraczek żurawin - Polki, Rymszewicz, i Ukrainki. Pochowano je razem na miejscowym cmentarzu.

W tajdze rosło coś w rodzaju krzyżówki - między maliną a truskawką. Były to jagody z niskich krzaków, podobne do jeżyny, o słodko-kwaśnym smaku. Dopiero pod koniec zesłania Tadeusz odkrył w wąwozach zarośla dzikiej porzeczki. Jagody dostarczały niezbędnym organizmowi witamin. Gdyby był cukier, można by przygotować niezliczone zapasy konfitur. W tamtych miejscowościach natomiast zupełnie nie było grzybów - ze względu na duże zabagnienie terenu.

Ziemi mogłeś wziąć, ile tylko chciałeś. Nie był to teren wiecznej zmarzliny i dlatego rosły tu ziemniaki. Sadzono je przy pomocy łopat. Ziemniaki były bardzo smaczne. Może dlatego, że zawsze ich brakowało. Problem był też z ich przechowaniem - mróz trzymał od września aż do maja.

Przy wybitnie kontynentalnym klimacie nie notowano dużych wahań temperatur i lato było bardzo upalne - przyroda jakby chciała nadrobić czas śpiączki w chłodzie, więc cykle wegetacyjne odbywały się bardzo intensywnie. Ale była inna zmora - komary. Noszono specjalne siatki i grube ubrania. Żeby wydoić krowy, rozpalano ogniska, same zwierzęta były mniej narażone, ze względu na długą sierść. Ta rasa bydła była przystosowana do warunków tu panujących. Czasem bydło wyruszało do... tajgi i zazwyczaj powracało, po tygodniu lub dwóch. Krowy były prawdziwą podporą tutejszego życia - nie tylko dawały mleko, można było zaprzęgnąć je do sań, by - na przykład - zwozić siano. Byków, jak też koni, spieczeresieleńcom trzymać było nie położono²⁶.

Kopalin użytecznych w tamtych okolicach nie było. W ziemi natrafiano na warstwy jakichś skorupiaków. Spotykano też jakiś minerał, wielkości grochu. Nie było żadnych skał i kamieni.

- Przyroda dla nie przygotowanych stawała się wrogiem. Żeby przeżyć, musieliśmy tak się dostosować, aby stała się naszym sojusznikiem - stwierdza mój rozmówca, a potem opowiada o świecie fauny tamtych stron.

Jakże on bogaty! Spotykało się niedźwiedzi, łosi, rysy. Miejscowi Rosjanie urządzali polowania, innym nie wydano zezwolenia na posiadania broni. Przymusowi osadnicy, żeby wyżywić się,

zastawiali sidła. Trafiały do nich przeważnie zające. Przed śmiercią wydawały tak żalosne głosy, że szkoda było tych zwierząt.

Niektórzy odżywiali się mięsem łosi. Z ich skóry robili podwijacze do szerokich nart, ze względu na bardzo puszysty śnieg. Na takich nartach dość wygodnie było przemieszczać się po zaspach – hamowało się pod sierść skóry.

Było jeszcze bardzo pocieszne zwierzątko w paski, które zapamiętał Tadeusz – morenduk. Pojawiał się na wiosnę. Gdy się potrafiło odpowiednio zagwizdać, zwierzątka podchodziły bardzo blisko, ale wystarczył najmniejszy nieostrożny ruch, żeby błyskawicznie umknęły. Wilków tu nie było.

W tajdze nie brakowało ptactwa. Były cietrzewie i głuszce, które z zachodem słońca chowały się do śniegu. Rano wylatywały z dużym łopotem skrzydeł ze swoich kryjówek. Spotykało się też dzięcioły. Zimą zabijały się one niekiedy na śmierć, gdy trafiały w lodowate drzewo... Zwierzęta – wydawało się – tak świetnie przygotowane do tych warunków, też czasem nie oszczędzały surowy klimat.

No, i jeszcze nie można zapomnieć o rybach. Tadeusz nigdy nie był zapalonym rybakim, ale na Syberii nie mógł przejść obojętnie, kiedy zobaczył, jak ryby dosłownie wyskakują z wody,

by połykać motyle, wyglądem przypominające nasze kapuśniaki. Ryby miały kolor srebrny i czerwone piórka, a nazywały się chyba krasnopiórki, czy jakoś tak podobnie. Jak one brały! Wyskakiwały ponad powierzchnię wody, byle tylko dać złapać się! Tadeusz przynosił całe ich wiadra i wtedy to była uczta. Tylko do rzeki nie było tak blisko - chyba ze cztery kilometry. Ale się opłacało, bo w rzece można było wykąpać się, choć woda była pioruńsko zimna. Prawda, ryby w postaci suszonej dostarczali nie tyle rybacy co kłusownicy, których w tych stronach nie brakowało.

- Nie należeliśmy do myśliwych, ani rybaków, to warunki zmuszały do tego, żeby jakoś przeżyć - podsumował Tadeusz.

druga część ukaże się w poniedziałek, 6 lutego.